

NR 1/89/2016
cena: 4,50 zł

Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię! (Mk 16,15)



postanie

Pismo ewangelizacyjne Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym POSŁA-
NIE

Moc modlitwy językami

Maria Vadia

Tańcem opowiadamy Dobrą Nowinę o Jezusie

wywiad z Jirim Sebastianem
Voborskim



DUCH PRZYCHODZI
Z POMOCĄ NASZEJ SŁABOŚCI

(Rz 8,26)

W NUMERZE:

- 1 MOC MODLITWY JĘZYKAMI
Maria Vadia
- 6 TAŃCEM OPOWIADAMY DOBRĄ
NOWINĘ O JEZUSIE
wywiad z Jirim Sebastianem Voborskim
- 9 *** (NIM DZIEŃ SIĘ SKOŃCZY)
Dagmara Krzyżanowska
- 10 DROGA DO ZJEDNOCZENIA Z BOGIEM
Dagmara Krzyżanowska
- 12 MAŁE NIC
Marta Kalniuk
- 16 I BĄDŹCIE WDZIĘCZNI!
Katarzyna Ciesielska
- 18 KOŚCIÓŁ JEST DLA NAS DAREM
Marta Kalniuk
- 21 PAN WEZWAŁ MNIE, BYM ZOSTAŁA
JEGO UCZNIEM
świadectwo
- 26 POTRZEBUJEMY PRZEJŚĆ PROCES
UZDROWIENIA
Agnieszka Ryba
- 28 CZY CHCESZ STAĆ SIĘ ZDROWYM?
Renata Czerwińska
- 31 BÓG DAŁ MI WOLNOŚĆ I NADZIEJĘ
świadectwo
- 32 OTRZYMAŁEM WSKAZÓWKI DO
CODZIENNEGO ŻYCIA
świadectwo

Duch przychodzi z pomocą naszej słabości (Rz 8,26)

Ciągle doświadczamy własnej niemocy. Kiedy stajemy w pokorze i prawdzie o sobie samych, musimy przyznać, że jesteśmy słabi, niedomagamy w wielu momentach, przerastają nas pewne sytuacje. Czasami nie potrafimy zobaczyć jasno, co jest wolą Bożą i jak powinniśmy postąpić. W innych przypadkach doskonale to wiemy, a jednak nie jesteśmy zdolni podjąć takiego działania. W chwilach strapienia i trudnościach w wiernym wypełnianiu praktyk duchowych powinniśmy stawać do walki duchowej, uzbrajając się w moc z wysoka. Zdajemy sobie sprawę również z tego, że każda dobra decyzja w nas może zostać poddana próbie. Nasze osobiste powołanie również na pewnym etapie zostanie oczyszczane i przemieniane według woli Bożej. Jesteśmy nieustannie terenem oddziaływań duchowych i zmagania się ze starym człowiekiem, który nie tak łatwo pozwala na obumieranie w nas.

Kiedy własna słabość nas paraliżuje i zatrzymuje w drodze, przyzywajmy Ducha Świętego. Tylko z Jego pomocą możemy przekraczać samych siebie. On uzdalnia nas do modlitwy i rozpoznawania zasadzek złego. Dzięki posłuszeństwu Jego prowadzeniu możemy wypełniać wolę Bożą względem naszego życia, trwać w codziennej wierności Jezusowi i stawać się coraz bardziej Jego uczniami. Ostatecznie przekonujemy się, że nasze ludzkie oczekiwania i plany w perspektywie zamiarów Jego Ducha są zaledwie mizerną częścią tego, co dla nas od wieków zostało przygotowane. Dlatego właśnie On przychodzi nam nieustannie z pomocą, wyprowadza na Boże drogi i pragnie wprowadzać w tajemnice Swojej miłości do każdego z nas.

W imieniu redakcji
Agnieszka Kozłowska



Moc modlitwy językami



foto: Tomasz Książczak

Konferencja wygłoszona
20 września 2015 r. w Toruniu podczas rekolekcji „Moc uwielbienia”

W piątek, kiedy zaczęliśmy rekolekcje, mówiłam o przybytku Dawida i o tym, że Duch Święty chce go teraz, w tym czasie odbudować. Jest to połączone z ewangelizowaniem zagubionych, ponieważ kiedy zaczynamy wychwalać Boga na sposób *tehillah*, przebywa On pośród tego uwielbienia, działa z mocą, uzdrawia i uwalnia. Kiedy niewierzący przychodzą na tego rodzaju spotkanie, ich serca mięknią, Bóg mówi do nich i bardzo łatwo poprowadzić ich do Jezusa. Widziałam to szczególnie w Afryce. Za każdym razem, kiedy na spotkanie przychodzili muzułmanie, oddawali życie Jezusowi, ponieważ widzieli, że Bóg działa w wielkiej mocy, zostawali dotknięci przez Ducha Świętego. Istotne jest, byśmy zrozumieli, że chwala i uwielbienie to kultura królestwa. Nie jest to marnowanie czasu, ale sytuacja, w której posługujemy Bogu. W każdym innym momencie pomagamy

ludziom, ale kiedy wychwalamy i uwielbiamy, służymy naszemu Ukochanemu i wchodzimy głębiej w relację z Nim. Podkreślam to niejednokrotnie, ponieważ wielu osobom wydaje się, że jest to marnowanie czasu. Celowo przychodzą później na spotkanie, patrzą na zegarek: „Och, jeszcze wychwalają i uwielbiają, więc pojedą tam, jak się skończy”. Musicie zrozumieć, że za każdym razem to jest nowe spotkanie z Bogiem. Nie chcemy żyć doświadczeniem, które mieliśmy 20 lat temu. Kiedy oddajemy Bogu cześć, oczekujemy Jego nowego przyjscia. A wówczas Duch Święty mówi, uzdrawia, uwalnia. Bóg... zachowuje się jak Bóg.

Każdy z nas potrzebuje wzrastać w miłości Bożej. Dzięki Ci, Jezu! Błogosławimy Cię za nowy dzień, dziękujemy Ci za to, że Twoje łaski są codziennie inne, za to, że masz nowe rzeczy dla każdego z nas. Jesteśmy głodni Ciebie, Panie. Duchu Święty, jesteś Duchem

 **posłanie**

Nr 1/89/2016

Pismo ewangelizacyjne
Wspólnoty Odnowy w Duchu
Świętym POSŁANIE
działającej przy kościele
Wniebowzięcia Najświętszej
Maryi Panny w Toruniu

WYDAWCA:
Katolickie Stowarzyszenie
Ewangelizacyjne „Posłanie”

PREZES STOWARZYSZENIA:
Ewa Leszczelowska

ASYSTENT KOŚCIELNY:
ks. prałat mgr Józef Nowakowski

REDAKTOR NACZELNY:
Dagmara Krzyżanowska

REDAKCJA PISMA:
Agnieszka Kozłowska, Renata Czerwińska

WSPÓŁPRACA:
Ewa Leszczelowska, Katarzyna Ciesielska,
Małgorzata Wołosiuk, Agnieszka Ryba

OPRACOWANIE GRAFICZNE I
ŁAMANIE KOMPUTEROWE:
Marta Kalniuk, Agata Rochecka

OKŁADKI:
Marta Kalniuk

KONTAKT:
wspolnota@poslanie.pl

ADRESY NASZYCH STRON:
www.poslanie.pl
www.facebook.com/poslanie

ISSN 1734-7602

DRUK: Drukarnia Loretańska,
Warszawa - Rembertów

objawienia, mów do nas, namaść nas, daj nam większy głód obecności Bożej. Wczoraj wiele osób przyjęło chrzest w Duchu Świętym. Później modliliśmy się o uwolnienie daru modlitwy językami. Kiedy przyjmujemy chrzest w Duchu Świętym, On przychodzi i daje nam język modlitwy. Jest to wspaniały dar, ale wiele osób nie zwraca na niego uwagi. Wydaje im się, że jest to głupie, niedobre – uwierzyli w kłamstwa diabła. Bóg nie daje śmieci. Każdy dar, którym On obdarowuje, jest dobry i zostaje nam dany dlatego, że go potrzebujemy. Język modlitwy to jedna z potężniejszych manifestacji Ducha Świętego w naszym życiu.

Chciałabym, abyście zaczęli używać go każdego dnia. *Ten bowiem, kto mówi językiem, nie ludziom mówi, lecz Bogu* (1 Kor 14,2) – to pierwsza zaleta, którą widzimy. Kiedy modlę się w ten sposób, nie wiem, co mówię, ale wierzę w to, co mówi Słowo Boże – że mówię do Boga. Moment, w którym zaczynam modlić się w Duchu, jest połączeniem z Bogiem. To modlitwa z mojego serca do serca Boga, taki bypass, który omija mój umysł. Bardzo często własny rozum może być naszym największym wrogiem, a Biblia mówi, żebyśmy chodzili według wiary. Tymczasem zaczynamy wszystko analizować, a to prowadzi do paraliżu. Chcemy słyszeć głos Boga i pełnić Jego wolę. Wszystko, co Duch Święty ci mówi, żebyś zrobił, musi być jednak potwierdzone w Piśmie Świętym. On jest Bogiem, więc nie poprosi cię, byś czynił coś przeciwko Niemu samemu. *Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi* (Rz 8,14).

Pierwszą zaletą modlitwy w Duchu jest więc wejście w przestrzeń duchową. Jaka może być druga zaleta? *Pod wpływem Ducha mówi rzeczy tajemne* (1 Kor 14,2). Kiedy modlimy się w ten sposób, wchodzimy w przestrzeń tajemnic królestwa Bożego. Jest ono ich pełne, szczególnie dla tych, którzy są ich głodni. Kiedy chcemy wejść głębiej w relację z Bogiem, modlimy się w Duchu i tajemnice królestwa zostają nam objawione. Są one dla nas, nie z nas. Kiedy zaczynamy korzystać z daru języków, potrzebujemy np. mieć objawienie władzy, którą mamy w Chrystusie. Większość wierzących jest bierna, bo mówi: „Boże, kiedy coś zrobisz?”. Twoja siostra od 25 lat cierpi na depresję, a ty siedzisz i modlisz się: „Boże, zrób coś!”. Ale niebo czeka na ciebie, żebyś wstał, poszedł i położył ręce na swoją siostrę. Jesteśmy bardzo bierni, a to nie pochodzi z Ducha, tylko od diabła, ponieważ on chce utrzymać w tym stanie lud Boży, żeby nie wszedł w swoje przeznaczenie. Dar języków objawia nam rzeczy, których nie zobaczymy naszymi ludzkimi oczami. *Wołaj do Mnie, a odpowiem ci, oznajmię ci rzeczy wielkie i niezgłębione, jakich nie znasz* (Jr 33,3). Jedną z najszybszych dróg, by wejść w to głębiej, jest modlitwa w Duchu. On jest Bogiem i źródłem doskonałej wiary, nie wątpi, uderza prosto w cel, kiedy się modlimy. Kiedy modlę się w Duchu,

modlę się Duch Święty z moim duchem. Mówię bezpośrednio do Boga i zaczynam osiągać tajemnic królestwa Bożego.

Ten, kto mówi językiem, buduje siebie samego (1 Kor 14,4). Ten dar jest więc dobry dla mnie, ponieważ kiedy modlę się w Duchu, wzmacnia się we mnie człowiek wewnętrzny, staję się naprawdę silna. Możemy się zmęczyć w działaniach misyjnych, być zniechęceni czy trwać w depresji, ale kiedy zaczynamy modlić się w Duchu, coś nagle się dzieje, wzrastamy w sile.



Potrzebujemy być mocni, ponieważ duch świata próbuje nas wciągnąć, wróg nas atakuje. Musimy się mu oprzeć i przejść ponad wszelkimi pokusami. Robimy to właśnie w mocy Ducha Świętego. W Biblii jest napisane, że budujemy siebie samych, w oryginale greckim oznacza to, że jesteśmy naładowywani – tak jak bateria. Każdy z nas tutaj ma telefon komórkowy. Trzeba go podłączać do ładowarki, żeby działał. My także potrzebujemy się „naładowywać”, żebyśmy mogli kontynuować dzieła Jezusa. Mam nadzieję, że to notujecie, ponieważ zanim wrócicie do domu, niektórzy z was uwierzą w kłamstwo diabła: „Ten dar jest głupi, nigdy tego nie miałeś”. Zazwyczaj tak się dzieje, dlatego to jest ważne, żebyś mógł wrócić do tych treści później. Jeśli chcesz

pozostać mocny w Duchu, módl się językami. Robię to każdego dnia. Co najmniej godzinę spędzam na takiej modlitwie – kiedy jestem w domu, kiedy idę na spacer, ćwiczę... Kiedy lecę samolotem, zazwyczaj wybieram miejsce przy oknie i wtedy modlę się w Duchu tak długo, jak tylko się da. Potrzebuję być silna, a to bardzo szybki sposób, i to bardzo efektywny, lepszy niż kawa.

Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można

wyrazić słowami (Rz 8,26). Kiedy słabniemy, nie jest to wymówka, żeby przestać. Mamy Pomocnika, który nigdy nie słabnie i zawsze chce nam pomóc. Czasem mówimy: „Boże, już nie wiem, co mam zrobić, jestem zmęczony... Przez 20 lat się modliłem i nic się nie zmieniło!”. Ktoś z was doszedł kiedyś do tego momentu? Wtedy trzeba modlić się w Duchu. Przez 15 lat modliłam się za mojego starszego brata i nic się nie zmieniło – oczywiście, patrząc z zewnątrz, ponieważ tak naprawdę za każdym razem, gdy się modlimy, coś się zmienia. Nasze modlitwy nigdy nie są zmarnowane. Brat był zaangażowany w okultyzm, niemoralność seksualną, nie chciał mieć nic wspólnego z Jezusem, ponieważ Go nie znał. Siedział w buddyzmie, w hinduizmie. Po 15

latach modlitwy powiedziałam: „Boże, najwidoczniej moje modlitwy nie działają! Nie widzę żadnej zmiany u mojego brata, nawet mu się pogarsza! Co robić? Jak mam się modlić za tego człowieka? Przecież Ty kochasz go bardziej niż ja i chcesz, żeby był zbawiony”. Nie jestem sierotą, więc co zrobiłam? Zaczęłam modlić się w Duchu: „Pokaż mi, Panie, jak się modlić, żeby trafić w cel, by pomóc mojemu bratu?”. I Bóg dał mi wizję: to był 11. rozdział *Ewangelii św. Jana*, opisujący wskrzeszenie Łazarza. Bóg pokazał mi mojego brata w tym grobie. Był on duchowo martwy, ale głaz został już odsunięty. Bóg pouczał mnie, żebym modliła się za mojego brata tak samo, jak Jezus, który wołał do Łazarza, żeby wyszedł z grobu. To się nazywa modlitwa prorocza. Mój brat ma na imię Rene. Modląc się więc w domu codziennie rano, wołałam: „Rene! Wyjdź z grobu! Wyjdź z ciemności do światła! Wyjdź ze śmierci do życia! Nie bój się Jezusa, On czeka na ciebie z otwartymi ramionami. Wyjdź z grobu!”. W świecie duchowym nie ma rozdziału między czasem i miejscem. Natychmiast zobaczyłam zmiany w jego nastawieniu względem mnie, mojej siostry i mamy. Nie od razu poznał Jezusa, ale coś się zmieniło. Duch Święty przyprowadzał go do nas, zaczął zadawać pytania o Boga. Jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu, że on zna teraz Jezusa. Niedługo potem moja mama miała operację serca. Wszystko było w porządku, ale kilka dni później, kiedy była sama w izolatce, a ja przygotowywałam się, żeby pojechać na niedzielną mszę, usłyszałam głos Boga. Czy wiecie, że Duch Święty mówi i każdego dnia chce prowadzić wasze kroki? To jest część naszego dziedzictwa w Chrystusie, że mamy sny, wizje i możemy Go słyszeć. *Moje owce słuchają mego głosu* (J 10,27). To oznacza chodzić z Bogiem. Nie możemy być głusi ani ślepi w Duchu i dlatego ten dar jest taki dobry. Kiedy podejmujemy się modlitwy w Duchu, zaczynamy słuchać głosu Bożego. Podczas niej usłyszałam: „Jedź prosto do szpitala!”. I dzięki Bogu, że zrobiłam to, co On chciał. Zmienił moje plany. Czy chcecie, żeby Pan modyfikował wasze plany, kiedy będzie tego potrzebował? Pojechałam prosto do szpitala, myśląc, że wszystko jest w porządku, ale kiedy weszłam do sali, okazało się, że mama umierała na oczach mojej siostry i brata. Miała krwotok i straciła już cztery jednostki krwi. Byłam zaskoczona! Mój brat, lekarz, stał tam obok niej i nie mógł nic zrobić. Pielęgniarki przychodziły, aby robić transfuzję krwi, a ona cały czas ją traciła. Kiedy to zobaczyłam, osłabłam. Ale nie jestem sierotą, mam Pomocnika. Ty też Go masz! W momencie słabości, jeśli zaczniesz modlić się w Duchu, On uwolni nadprzyrodzoną pomoc. Usłyszałam głos Boga: „Idź i rób to, co zawsze ci kazałem robić – nałóż na nią ręce”. Zrobiłam więc tak. Nie byłam w stanie modlić się po angielsku, po hiszpańsku, cała się trzęsłam, ale miałam Pomocnika, który w mojej słabości objawia

się ze Swoją mocą. Zaczęłam modlić się w Duchu jak szalona, bo walczyłam przeciwko duchowi śmierci, który próbował zabić moją mamę. Wreszcie usłyszałam, jak Bóg powiedział: „Już jest dobrze”. Przystałam się modlić, przyszła pielęgniarka i zabrała moją mamę. Po pół godzinie wróciła i oznajmiła, że krwawienie ustało. Alleluja! To był cud! Został uwolniony w momencie mojej największej słabości. I co się stało? Mój brat, niewierzący, widział to wszystko. Jako lekarz wiedział, że starsi ludzie po poważnych operacjach umierają, kiedy zaczynają się wykrwawiać. Powiedział wtedy do mnie: „Mario, to Jezus uzdrowił mamę, prawda?”. Odparłam: „Tak, to był Jezus!”. Dodał wtedy: „Kiedy przyszłaś i nałożyłaś ręce na mamę, widziałem Jezusa, który stał obok ciebie”. Alleluja! Dzięki Ci, Panie.

Próbuję wam pokazać moc, która jest w was. Ten sam Duch, który wskrzesił Jezusa z martwych, żyje w tobie (por. Rz 8,11). Masz Pomocnika, który działa pomimo twojej słabości. Możesz być zniechęcony, słaby, zmieszany, ale On taki nie jest. Jest Bogiem pełnym mocy. Jest taki sam wczoraj, dzisiaj i zawsze. Alleluja! Podnieście swoje ręce i powiedzcie: „Panie, chcę wierzyć! Przyjdź z pomocą do mojej niewiary! Zostałem stworzony do wielkich rzeczy i dałeś mi Ducha Świętego, żebym wypełnił Twój plan dla mojego życia. Amen. Dzięki Ci, Panie”. Kiedy modlimy się w Duchu, mimo naszej słabości jest uwalniana Jego potężna pomoc i chwała Mu za to.

Ten zaś, który przenika serca, zna zamiar Ducha, [wie], że przyczynia się za świętymi zgodnie z wolą Bożą (Rz 8,27). Duch Święty modli się doskonałą modlitwą, według woli Boga. W danej sytuacji możemy nie wiedzieć, w którą stronę iść. Chiny czy Rosja? Polska czy Włochy? Tego nie znajdę w Biblii. To, co mogę wtedy zrobić, to modlić się w Duchu, a On to pokaże. On się za nami wstawia, interweniuje i wszystko prowadzi do dobrego – przez cokolwiek przechodzimy. Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru (Rz 8,28). Kiedy modlimy się w Duchu za jakąś sytuację, Bóg zaczyna przemieniać wszystko dla naszego dobra i dla Jego chwały. Któregoś razu Duch Święty powiedział mi: „Zaczynaj się modlić!”. Było to bardzo nagłe, nie wiedziałam, o co chodzi, ale padłam na podłogę i zaczęłam modlić się w Duchu. Po 20 minutach zdałam sobie sprawę, że modlę się za moje dzieci. Powinnam była zapytać Pana, za które, ale nie zrobiłam tego, modliłam się dalej w językach. Później zaczęłam się modlić po angielsku i dziękować Bogu. Mówiłam: „Boże, dziękuję Ci za to, że ochraniasz moje dzieci. Nie wiem, gdzie są, nie wiem, co robią w tym momencie, ale Ty je ochraniasz. Dziękuję Ci za moc Twojej Krwi nad czwórka moich dzieci i proszę Cię, żebyś wysłał aniołów, żeby je ochraniali. Najwidoczniej coś się stało,

czego nie jestem świadoma, ale dziękuję Ci za Twoją interwencję”. Poczułam pokój, wiedziałam, że wszystko będzie w porządku. Musimy nauczyć się języka Ducha. Nie wiesz, jak masz się modlić za jakąś sytuację? Rób to w Duchu, a wyleje się radość i pokój, będziesz wiedział, że wszystko jest dobrze. Podziękuj wtedy Bogu. To jest wiara. Wieczorem córka zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Mamo, natychmiast przyjeżdżaj do szpitala! Ricky (mój najstarszy syn) jest na ostrym



foto. Tomasz Książczak

dyżurze!”. Ściągał się samochodami i ktoś z tyłu wjechał w niego. Koziołkował, wylądował na dachu, drugi samochód na niego spadł... Helikopter musiał go zabrać do szpitala. W drodze do samochodu mówiłam: „Boże, dziękuję Ci, że modliłam się za Ricky’ego wcześniej, leżąc na podłodze. Dziękuję Ci, ponieważ wiem, że wszystko będzie dobrze”. Zanim wsiałam do samochodu, moja córka zadzwoniła jeszcze raz i powiedziała: „Już nie przyjeżdżaj, Ricky’ego właśnie wypisują!”. Alleluja! Dzięki Ci, Panie. Po ludzku powinien był umrzeć, a wyszedł ze szpitala z kilkoma zadrapaniami, z bólem w żebrach i tyle. Takie rzeczy robi dla nas Duch Święty, więc dlaczego ignorujemy Tego, który żyje w nas?

Podnieście swoje ręce i powiedzcie: „Duchu Święty, chcę bardziej Ci ufać, nie chcę Cię już dalej ignoro-

wać. Chcę wejść w Twoje życie, w Twoją moc, w Twoją dobroć. Pomóż mi chodzić tak, jak chodził Jezus. Chcę ukazać charakter i moc Jezusa. Amen”.

Wy zaś, umiłowani, budując samych siebie na fundamencie waszej najświętszej wiary, w Duchu Świętym się módlcie (Jud 20). Kiedy modlimy się w Duchu, nasza wiara staje się mocniejsza. Dlaczego to jest ważne? Bez wiary zaś nie można podobać się Bogu (Hbr 11,6a). To pomaga nam chodzić według wiary i

nie koncentrować się na okolicznościach dookoła nas. Zaczynamy wzrastać, nasza wiara staje się silniejsza, wierzymy Bogu w rzeczach niemożliwych. Jezus pyta: Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie? (Łk 18,8b). Wiara podoba się Bogu, dotyka Jego serca. To oznacza, że potrzebujemy zacząć chodzić w Duchu, wierząc w to, co głosi Słowo Boże, ufając, że to, co mówi Bóg, jest bardziej prawdziwe niż to, co widzimy oczami. Chcemy mieć silną wiarę, ponieważ czasy, w których żyjemy, jej wymagają. Święty Marek opowiada (zob. Mk 6), że kiedy Jezus wrócił do swojego rodzinnego miasta, nie mógł uczynić żadnego cudu z powodu niewiary jego mieszkańców. Uzdrowił tylko parę osób.

(...) w miłości Bożej strzeżcie samych siebie, oczekując miłosierdzia Pana naszego, Jezusa

Chrystusa, [które wiedzie] ku życiu wiecznemu (Jud 21). Pozostajemy w miłości Bożej, kiedy zaczynamy modlić się w Duchu. Wchodzimy głębiej i owoce Ducha Świętego (miłość, radość, pokój, cierpliwość, życzliwość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie – por. Ga 5,22) zaczynają manifestować się w naszym życiu. Święty Paweł zaleca: Przy każdej sposobności módlcie się w Duchu! (Ef 6,18). Zawsze. Kiedy sprzątasz dom, myjesz naczynia. Masz niewierzącego męża? Módl się nad jego poduszką, namaść ją Duchem Świętym. Módl się, kiedy prowadzisz samochód (tylko nie zamykaj oczu!).

Wtedy bowiem przywrócę narodom wargi czyste (So 3,9a). Wczoraj mówiłam o języku i o tym, jak cały czas używaliśmy go w zły sposób – narzekając, marudząc, krytykując, plotkując, kłamiąc. Ale kiedy modlimy się w Duchu, przychodzi oczyszczenie – to jedyny język, w którym nigdy nie obraziliśmy Boga, więc to jest bardzo dobre. Co się jeszcze dzieje? (...) aby wszyscy wzywali imienia Pana i służyli Mu jednomyślnie (So 3,9b). Kiedy modlimy się w Duchu, uwolniona jest jedność. Zaczynamy służyć Bogu w jedności, a nie w podziałach, gdy każda grupa robi swoje, nie współpracując ze sobą. Kiedy wszyscy modlą się w Duchu, On będzie mówić tę samą rzecz. Żony i mężowie – módlcie się w Duchu! On będzie mówić do każdego z was to samo i dojdziecie do jedności. A przecież jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyje im mój Ojciec, który jest w niebie (Mt 18,19). Podziały, nienawiść, brak współpracy pochodzą od wroga, a dom, który jest podzielony, nie ostoi się. Kiedy jednak modlimy się w Duchu, wszystkie ściany, podziały zostają zburzone. Czyż to nie piękne? Dzięki Ci, Jezu! Jezus mówił, że z wnętrza tych, którzy w Niego uwierzą, wypłyną rzeki wody żywej (por. J 7,38), potoki Ducha Świętego. On jak rzeka płynie w tobie. Kiedy zaczynasz spędzać czas na modlitwie w Duchu, jego dary zaczynają płynąć i otrzymasz wszystko, czego w danym momencie będziesz potrzebować, bo głos Boga jest tutaj (głos Pański ponad wodami – Ps 29,3a). To sposób, w jaki możemy być prowadzeni przez Ducha Świętego.

Dałam wam co najmniej dwanaście powodów, dla których warto się modlić w Duchu. Czy jesteście już przekonani? Wstańmy, podnieśmy ręce i zaczynajmy uwielbiać Boga. Niech przepływa przez nas dziękczynienie. W każdym położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie Chrystusie względem was (1 Tes 5,18). Zaczynaj teraz wyrażać wdzięczność Bogu w swoim języku: Panie, dziękuję Ci za Twoją dobroć. Dzięki Ci, Duchu Święty, za to, że masz wspaniałe zamiary względem mnie, masz dla mnie przygotowane dobre rzeczy. Dziękuję Ci za to, że najlepsze jest jeszcze przede mną. Wydajmy wielki okrzyk dla Pana!

Tańcem opowiadamy Dobrą Nowinę o Jezusie



Z Jirim Sebastianem Voborskym

solistą, dyrektorem artystycznym i choreografem pierwszego chrześcijańskiego amerykańskiego zespołu baletowego **Ballet Magnificat!**

rozmawia Małgorzata Wołoskiuk

Czy mógłbyś powiedzieć nam coś o *Ballecie Magnificat!*? Kim jesteście i czym się zajmujecie?

Ballet Magnificat! to profesjonalny, chrześcijański zespół baletowy z Jackson w stanie Missisipi (USA). Istniejemy już 29 lat. Składamy się z dwóch profesjonalnych, objazdowych zespołów: *Alpha* i *Omega*, które wystawiają balety w Stanach Zjednoczonych i zagranicą. Nasz drugi zespół występuje obecnie w Brazylii. Zajmujemy się profesjonalnym tańcem najlepiej jak potrafimy, na pełen etat przez cały rok. Jedziemy wszędzie tam, gdzie jesteśmy zapraszani, prowadzimy także warsztaty.

Czytałam, że powstanie waszej szkoły baletowej oraz zespołu zostało zainspirowane słowami prorocтва. Czy możesz coś więcej o tym opowiedzieć?

Kathy Thibodeaux, która w 1986 roku założyła *Ballet Magnificat!*, występowała początkowo jako główna solistka *Ballet Mississippi*, dla którego tworzyła również choreografie niektórych przedstawień. Kiedy w 1979 roku została chrześcijanką, zapragnęła tańcem wielbić Boga. W 1982 r. zdobyła srebrny medal na międzynarodowych zawodach baletowych, wyznając w tańcu swoją wiarę w utworze zatytułowanym *Będziemy Go widzieć*. Następnie zapragnęła założyć zespół

tańczący na chwałę Bożą. Początkowo napotkała opór i negatywne opinie, że to nie może się udać, nie ma szansy powodzenia, nie znajdą się tancerze, nie zdobędzie funduszy itp. Kathy jednak czuła w swym sercu, że Bóg mówi, by wielbiła Go tańcem, więc była posłuszna Jego słowu oraz talentowi, którym ją obdarzył. To dzieło rozwija się już trzy dekady i w tym czasie było wiele prorocत्व dotyczących naszej drogi. Jedno z nich mówiło o tym, że Kathy będzie tańczyć w wielu krajach, jednak dopiero w 1999 roku przybyliśmy po raz pierwszy do Europy. Od tego czasu występowaliśmy już w ponad 30 krajach. To jest dla nas wielki zaszczyt, że możemy tańcząc dzielić się Dobrą Nowiną o Jezusie wszędzie tam, gdzie Pan nas pośle. Taniec jest ponadkulturowym językiem, dzięki któremu można bez słów przemawiać do każdej widowni, dotykając i poruszając serca.

Uwielbiacie Boga tańcem. Jak to działa?

Zastanówmy się, co się dzieje, kiedy coś nas ucieszy. Kiedy jesteśmy czymś podekscytowani, często skaczemy. Gdybyś wygrała milion złotych, na pewno skakałabyś i śpiewała z radości. Z Bogiem jest tak samo. Bożą radość bardzo trudno wyrazić, stojąc spokojnie. To naturalne, że jako istoty ludzkie chcemy się ruszać. Taniec to forma zorganizowanego ruchu, którym można wyrazić radość. Używamy dramy i różnych odmian tańca jako narzędzi do przedstawiania naszej opowieści o Jezusie. Taniec pomaga lepiej oddać nasz przekaz, tak by ludzie na widowni odnaleźli w naszych bohaterach samych siebie – o, to ja! – a Pan mógł zacząć przemawiać do ich serca, przemieniając ich życie na zawsze. Tak więc ruch jest naturalną częścią naszego istnienia, a my używamy tańca jako środka przekazu.

Tańczyliście w wielu krajach. Powiedz, gdzie widziałeś największą potrzebę, największe pragnienie Boga?

Czasem, kiedy wyjdę z mojego domu, to już w najbliższym sąsiedztwie widzę wiele rozbitych rodzin. Widzę wiele osób pochłoniętych zarabianiem

pieniędzy, aby kupić sobie lepszy dom czy samochód – tak więc wszędzie jest konieczność świadczenia ludziom o Bogu. Pan posyła nas do Afryki Południowej (RPA), do Hondurasu, do Europy – w każdym z tych miejsc widzimy potrzebę głoszenia. Europa jest z duchowego punktu widzenia takim ciemnym miejscem z wieloma brakami. Jeśli nie znamy Boga, wszyscy jesteśmy w rozpaczliwej potrzebie odnalezienia prawdziwej Wody Żywej. Gdziekolwiek jedziemy, widzimy to pragnienie. Nie ma znaczenia, czy to jest Ameryka (myślisz, że tam ludzie są szczęśliwi, ale tak nie jest) czy Europa (myślisz, że jest tu więcej szczęścia, ale znowu nie), bo przed Bogiem nie liczy się to, co posiadasz, tak naprawdę masz puste ręce. Gdziekolwiek jedziemy, spotykamy ludzi znających Pana, pełnych radości i takich, którzy Go nie spotkali i naszym zadaniem jest przekazanie im Dobrej Nowiny.

Podczas Waszej posługi z pewnością doświadczenie działania Ducha Świętego. Możesz nam podać kilka takich przykładów?

Duch Święty jest częścią Trójcy, która łączy w sobie Osobę Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego. Taka jest nasza wiara. Wierzymy, że Duch Święty istnieje i wyraża Siebie w jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny sposób. Nie możemy zaszufladkować Boga, oczekiwać, że będzie się zachowywał zawsze tak samo. Bóg robi to, co Sam chce i ma do tego prawo. On o tym decyduje. Mogę opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w Czechach, kiedy pierwszy raz odwiedziliśmy ten kraj. Po naszym przedstawieniu, jako że jedna z naszych managerek, Tracy, była również piosenkarką, poprosiłem ją, aby zaśpiewała *a capella* pieśń *Amazing grace*. Wzięła mikrofon i zaczęła śpiewać, a wtedy widownia włączyła się do jej śpiewu. I nagle poczuliśmy niewytłumaczalną obecność Ducha Świętego. Brzmiało to tak, jakby aniołowie w niebie śpiewali razem z nami. Nawet osoby, które nie znały słów, były niezwykle poruszone. Mogły bardzo osobiście i namacalnie doświadczyć Bożej obecności przez objawienie się Ducha Świętego, który działał z mocą. Nigdy tego nie zapomnę, choć miało to miejsce w 1999 roku. Wciąż pamiętam to jako pełne mocy wydarzenie.

Jak przygotowujecie się do występu? Poprzez trening, przez modlitwę?

Kiedy zaczynam tworzyć nowy balet, opracowuję nową historię, dużo czasu spędzam w obecności Bożej. Jaką historię powinniśmy opowiedzieć? Potem, kiedy mam już koncepcję całej opowieści, bardzo trudnym zadaniem jest dobranie muzyki. Idę wcześniej rano do studia, proszę Pana, aby do mnie mówił i zaczynam wszystko składać. To trochę jak budowanie z klocków



LEGO. Układasz jeden klocek, potem dopasowujesz kolejny. Następnie przygotowujemy tańce i kostiumy. Ale to, co jest naprawdę wyjątkowe, to moment, kiedy stajemy na scenie i zaczynamy tańczyć przed publicznością, a Duch Boży, tchnienie Boga wypełnia salę. Widzimy wówczas, jak kroki, które same z siebie są bez znaczenia, stają się narzędziem, poprzez które Bóg głęboko dotyka czyjejś duszy. Wiemy, że to, co robimy, jakkolwiek głupie by się mogło wydawać, przemienia ludzkie życie. To nie dzieje się naszą siłą, ale Jezus namaszcza nas – Swoje dzieci – abyśmy byli niejako koniuszkami Jego palców. Używa nas jako Swoich rąk wobec publiczności, tak jak to będzie miało miejsce dziś wieczorem.

Ostatnie pytanie: jakie masz przesłanie dla naszych Czytelników?

Przesłanie dla każdego, kto to czyta, jest takie: kochaj Pana! Osobiście czuję się uprzywilejowany tym, że znam Jezusa od szesnastego roku życia. Podążanie za Nim to niezwykła podróż. Nie zawsze jest łatwo, to nie spacerek przez park, ale coraz lepsze poznawanie Jezusa i pozwalanie Mu, aby mnie zmieniał, kształtował i używał dla Swojej chwały, jest czymś niesamowitym i trudnym do opisanego. Jeżeli jeszcze nie znasz Chrystusa, jest na to sposób: możesz poprosić Go, by ci się objawił. A jeśli już Go znasz, wciąż szukaj Go i idź za Nim. Rób, co chce, byś robił, idź tam, gdzie cię

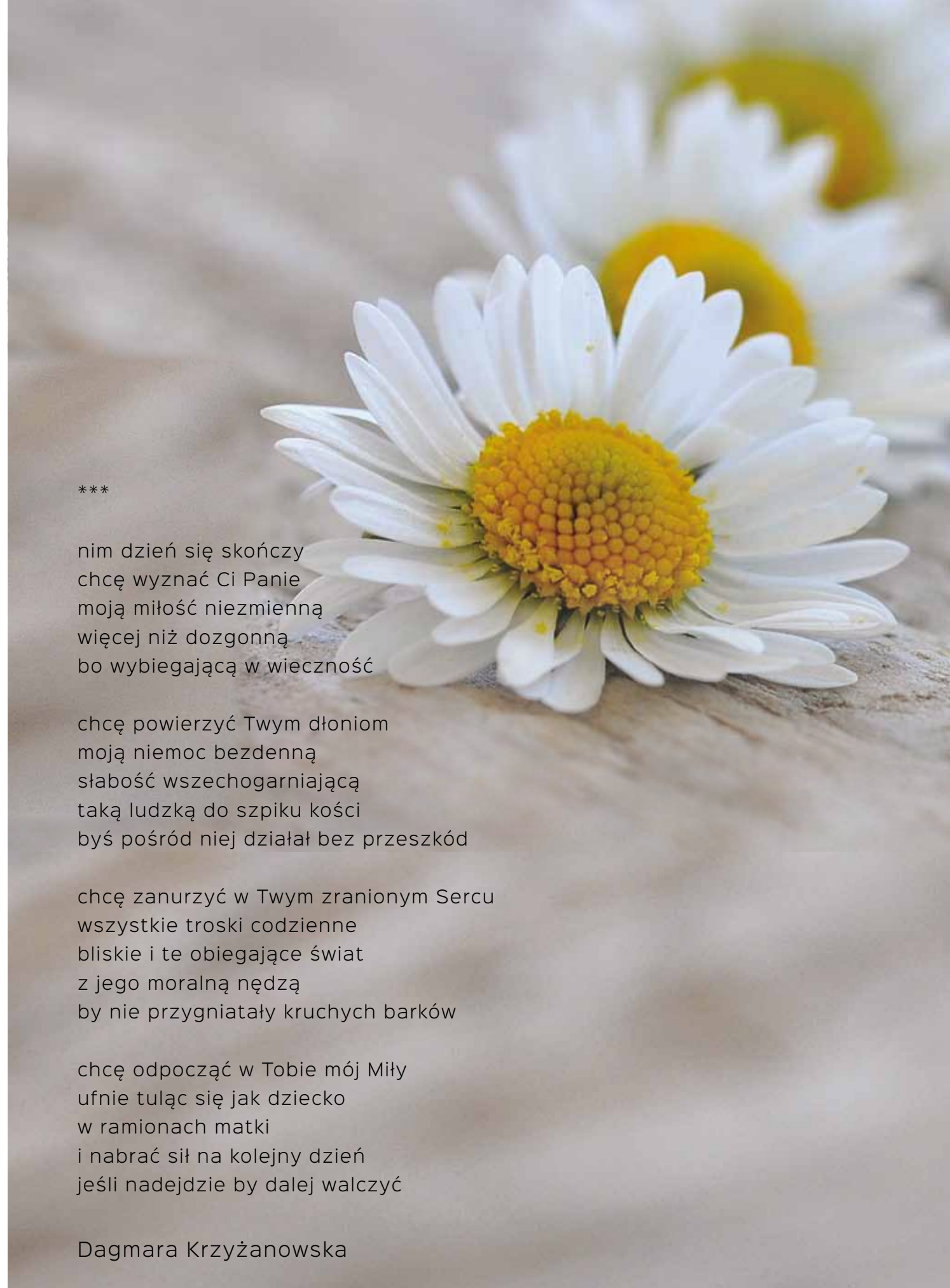
posyła. Służ Mu całym sercem i ze wszystkich sił, a On będzie zmieniał świat przez ciebie.

Bardzo dziękuję.

Toruń, 16.05.2015 r.

Tłumaczenie: Alina Gorywoda, Tomasz Książczak

Zdjęcia ze str. 6-8 pochodzą z archiwum *Ballet Magnificat!*



nim dzień się skończy
chcę wyznać Ci Panie
moją miłość niezmienną
więcej niż dozągonną
bo wybiegającą w wieczność

chcę powierzyć Twym dłoniom
moją niemoc bezdenną
słabość wszechogarniającą
taką ludzką do szpiku kości
byś pośród niej działał bez przeszkód

chcę zanurzyć w Twym zranionym Sercu
wszystkie troski codzienne
bliskie i te obiegające świat
z jego moralną nędzą
by nie przygniatały kruchych barków

chcę odpocząć w Tobie mój Miły
ufnie tuląc się jak dziecko
w ramionach matki
i nabrać sił na kolejny dzień
jeśli nadejdzie by dalej walczyć

Dagmara Krzyżanowska



Dagmara Krzyżanowska

Droga do zjednoczenia z Bogiem

W Drodze na Górę Karmel św. Jan od Krzyża przybliży nam, na czym polega zjednoczenie duszy z Bogiem. Nie są to rzeczy łatwe do zrozumienia, raczej stają się bliższe poprzez praktykowanie, czyli wejście na drogę prowadzącą do tego celu. Kto doświadczył miłości Bożej – pozostawiającej trwałą ranę w sercu – niejako w sposób naturalny zostaje pociągnięty do podążania wzwyż ku Temu, który udziela się duszy, jednocześnie przekraczając ją nieskończenie. Nie sposób zapomnieć o Bogu, ale też nie jest możliwe o własnych siłach zbliżyć się do Niego. Tylko miłość pomaga duszy dać się prowadzić po drodze całkowitego ogołocenia się z tego, co do tej pory w wymiarze duchowym znała lub już osiągnęła.

Dwa rodzaje zjednoczenia

Św. Jan od Krzyża rozróżnia dwa rodzaje zjednoczenia z Bogiem, ale jest to podział jedynie porządkujący, dla lepszego zrozumienia, gdyż oba są ze sobą głęboko powiązane. *Mówiąc więc o zjednoczeniu duszy z Bogiem, nie mamy na myśli tego zjednoczenia substancjalnego, które zawsze zachodzi pomiędzy Bogiem a stworzeniami. Mówimy tu o przeobrażeniu i zjednoczeniu się duszy z Bogiem, które nie zawsze zachodzi, lecz jedynie wtedy, gdy ma miejsce podobieństwo miłości. Dlatego też zjednoczenie to zowie się zjednoczeniem upodabniającym, tak jak*

tamto zowie się istotnym albo substancjalnym. Tamto jest naturalne, to zaś nadprzyrodzone. Zjednoczenie to dokonuje się wtedy, gdy dwie wole, to jest wola duszy i wola Boga, są zupełnie zgodne i nic ich nie dzieli. Gdy więc dusza odrzuci to wszystko, co się sprzeciwia woli Bożej i nie jest z nią zgodne, wówczas będzie przemieniona w Boga przez miłość.

Zjednoczenie naturalne (istotne, substancjalne)

Zjednoczenie naturalne to stała, substancjalna obecność Boga w każdej duszy, nawet największego grzesznika. Stwórca od początku wyposażył nas w trwałą więź ze Sobą, gwarantując w ten sposób nasze istnienie i dalszy rozwój. *Ten rodzaj łączności zawsze istnieje pomiędzy Bogiem a wszystkimi stworzeniami, gdyż Bóg udziela im naturalnego bytu i utrzymuje go swoją obecnością. Gdyby tej łączności zabrakło, wszystkie stworzenia obróciłyby się w nicłość i przestałyby istnieć. W świetle tych słów jakże absurdalne i aroganckie są postawy tych osób, które sądzą, że są samowystarczalne i odrzucają Boga w swoim myśleniu oraz postępowaniu. To tak, jakby gałąź chciała oderwać się od pnia, aby dalej funkcjonować bez niego. Bóg jednak w Swoim Miłosierdziu do końca daje szansę stworzeniu, podtrzymując jej byt w istnieniu. Nie może jednak powstrzymać go, jeśli*

zechce ono odciąć się od Niego i dokonać innego wyboru w chwili śmierci. Niestety, jeszcze za życia można zaobserwować skutki duchowego obumierania tych, którzy odrzucają Boga i Jego miłość. Dlatego tak ważna jest modlitwa za zatwardziały grzeszników, żeby chociaż w tym ostatnim momencie opamiętali się i nie zginęli na wieki.

Zjednoczenie nadprzyrodzone (upodabniające)

W zjednoczeniu upodabniającym mamy do czynienia z innym rodzajem udzielania się Boga. W istotowym chodzi o udzielanie bytu przyrodzonego, a tutaj – nadprzyrodzonego.

Chociaż jest prawdą, jak już mówiliśmy, że Bóg przebywa zawsze w duszy, dając i utrzymując swą obecnością jej byt naturalny, nie zawsze jednak udziela jej bytu nadprzyrodzonego. Ten bowiem udziela się tylko przez miłość i łaskę, a nie wszystkie dusze znajdują się w stanie łaski. A i te, które są w stanie łaski, nie są w równym stopniu, bo jedne są na wyższym, inne na niższym stopniu miłości. Bóg więcej się udziela tej duszy, która więcej postąpiła w miłości, to znaczy bardziej złączyła swą wolę z wolą Boga. Jeśli więc dusza całkowicie ma wolę uzgodnioną i upodobnioną do woli Boga, wtedy całkowicie i w sposób nadprzyrodzony jest zjednoczona i przeobrażona w Boga. Kto pragnie podążać drogą na Górę Karmel, musi to dobrze zrozumieć i przyjąć: nie ma innego sposobu do zjednoczenia nadprzyrodzonego, jak tylko złączenie swej woli z wolą Boga. Miłość nie jest rzeczywistością abstrakcyjną, a tym bardziej sentymentalną, ale jest codzienną walką o uzgadnianie własnej woli z wolą Bożą. Wymaga to ciągłego zapierania się siebie i podejmowania tego, czego chce od nas Bóg w danym momencie. Jest to nieustanny proces dokonywania małych i większych wyborów w ciągu całego życia.

Oderwać się od stworzeń

Na początkowym etapie świadomego dążenia do doskonałości musimy uporządkować naszą sferę uczuciową, oderwać się od stworzeń. O to toczy się najtrudniejsza batalia. Wiele za tym przemawia: mówi nam o tym Słowo Boże, ale też sami widzimy, jak bardzo w tej dziedzinie jesteśmy słabi i zwodzeni. Św. Jan od Krzyża pisze o tym niezwykle jasno:

Stąd łatwo zrozumieć, że im więcej dusza przywiązuje się do stworzeń i do ich właściwości afektem i usposobieniem, tym mniej jest zdatna do owego zjednoczenia. Nie pozwala bowiem w pełni, by ją Bóg przeobraził w to, co jest nadprzyrodzone. Potrzeba więc tylko, by dusza uwolniła się od tych przeciwieństw i niepodobieństw naturalnych, a wtedy Bóg, który się jej

udziela naturalnie przez swój byt, będzie się jej udzielał w sposób nadprzyrodzony przez łaskę. Wybór należy do nas – im szybciej to zrozumiemy, tym łatwiej nam będzie wspinać się na szczyt Góry Karmel.

Całkowite ogołocenie

W miarę jak podążamy dalej ku zjednoczeniu z Bogiem, ogałamy się ze wszystkiego, włącznie ze sposobem rozumowania, duchowego smakowania, wyobrażania. Jest to naturalny proces, któremu poddajemy się z jednej strony przez posłuszeństwo prowadzeniu nas przez Ducha Świętego, z drugiej zaś, dochodząc do kresu naszych możliwości poznawczych poprzez rozum, wyobraźnię, odczuwanie. W każdym z tych doświadczeń przekonujemy się, jak bardzo Bóg nas przekracza. *Ponieważ dusza pragnie złączyć się całkowicie jeszcze w tym życiu z Tym, z którym ma być złączona w życiu przyszłym w chwale, a którego, jak mówi św. Paweł, ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie weszło, jasnym jest, że dla osiągnięcia w tym życiu doskonałego zjednoczenia z Nim przez łaskę i przez miłość, trzeba iść do Niego w ciemnościach i w oderwaniu się od wszystkiego, co można objąć wzrokiem, słuchem, wyobraźnią i sercem, które tu oznacza duszę.*

Droga przez wiarę

Pragnienie zjednoczenia z Bogiem jest naturalnym dążeniem duszy pochwyconej przez Boga, o czym może zaświadczyć każdy, kto zakosztował Jego miłości. *Uwiodłeś mnie Panie, a ja dałem się uwieść (Jr 20,7).* Doświadczenie spotkania z miłującym Bogiem pozostawia trwałe ślady w sercu człowieka i staje się motorem napędowym w jego życiu. To pozwala nam pójść drogą ogołocenia. *Tak więc, pośród ciemności, szybko zbliża się dusza do zjednoczenia za pośrednictwem wiary, która również jest ciemna, i tak udziela jej swego prawdziwego światła. Gdyby zaś dusza chciała coś widzieć, na pewno wkrótce by oślepla w stosunku do Boga, tak jak człowiek, który patrzy na oślepiające światło słońca.* Miłość i łaska wiodą nas po tej drodze, na której musimy zdać się całkowicie na Boga. Jego inicjatywą jest pociągnięcie nas na nią i nie do nas należy osiągnięcie jej celu. *Wszystko jest łaską, jak wyznała krótko przed śmiercią św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Nie tyle skupiamy się na samym dążeniu do zjednoczenia z Bogiem – bo ono zależy od Niego, a nie od nas – ale miłujmy Go z całych sił i dajmy Mu się prowadzić w sposób, w jaki On tego chce. Nie tyle koncentrujemy się na osiągnięciu doskonałości, co wszystkie nasze wysiłki poświęćmy temu, by służyć wiernie Bogu, pełniąc Jego wolę.*

Cytaty za: św. Jan od Krzyża, Droga na Górę Karmel

Małe Nic

Bóg w Swoim miłosierdziu udziela ludzkości łask poprzez dusze wybrane, na które wylewa Swoje szczególne łaski. Do św. Marii od Jezusa Ukrzyżowanego, zwanej Małą Arabką, powiedział: *Ja wybieram niektóre dusze, abym w nich został uwielbiony; nadzwyczajne dary, jakich im udzielam, nie są dla nich, ale dla innych. Dusze te zachowują jedynie cierpienie...* Niekiedy nadaje im jakiś szczególny rys, w ten sposób udzielając światła pragnącym podążać drogą świętości. Siostra Maria od Jezusa Ukrzyżowanego, kanonizowana w sierpniu 2015 r., jest jedną z takich dusz wybranych. Obdarowana wieloma niezwykłymi darami, była Małym Nic – tak nazwał ją Anioł podczas jednego z objawień towarzyszących jej niezwykłemu życiu. Świadoma własnej nicości, odznaczała się wielką pokorą, która stanowiła główny rys jej osobowości.

Dusza wybrana

Mariam (aramejskie brzmienie imienia Maria) rodzi się jako trzynaste dziecko małżonków Baouardy w palestyńskiej wiosce Abelin, 20 km od Nazaretu. Jej przyjście na świat poprzedza śmierć w wieku niemowlęcym jej dwunastu braci. Jako dziecko cudownie wyproszone przez rodziców w Grocie Narodzenia, już od najmłodszych lat przejawia znaki Bożego wybrania. Mając 3 lata, często spędza czas w samotności, by zanurzać się w modlitwie. Jej szczęśliwe dzieciństwo zostaje gwałtownie przerwane poprzez śmierć najpierw ojca, który córkę oddaje w opiekę św. Józefa, a potem matki. Osieroconą dziewczynką zajmuje się stryj, podczas gdy jej jedyne młodszego brata przygarnia ciotka od strony matki. Maria, która bardzo cierpi z powodu straty rodziców, z całą prostotą prosi Maryję, by była jej podwójną Matką. Na Jej cześć od piątego roku życia pości w każdą sobotę, nie jedząc absolutnie nic. Jako sześciolatnie dziecko odkrywa w swoim sercu pragnienie cierpienia, tęskni za wiecznością, prosi Pana o łaskę śmierci za wiarę. Jej dzieciństwu towarzyszą też cudowne wydarzenia: kwiaty, które zostawia pod figurką Maryi, wypuszczają korzonki i wydają upajający zapach; innym razem

ogromny wąż wkrada się do jej pokoju, gdy ona się modli, ale dziewczynka w swojej naiwności chwyta go za głowę, karmiąc swoim deserem, a on nie robi jej żadnej krzywdy.

Przez lata dorastania w Mariam kielkuje powołanie, pragnienie, by jej serce należało tylko do Jezusa. Przymyka Mu czystość. Ale to dzieło, które Bóg w niej składa, spotyka się z ogromnym sprzeciwem. Kiedy ma 13 lat, stryj aranżuje jej zaręczyny – mieszkają wtedy w Aleksandrii – ale ona, w obecności narzeczonego, przynosi na tacy swoje obcięte włosy przetkane klejnotami. Wuj wpada w gniew, umieszcza ją razem z niewolnicami, zabrania korzystania z sakramentów. Dziewczyna staje się ostatnią ze służących

we własnym domu, jednak nie zmienia zdania, ciesząc się, że może cierpieć dla Jezusa.

Kiedy po trzech miesiącach upokorzenia pragnie, by odwiedził ją brat, chce posłać mu wiadomość przez pewnego Turka, który, znając jej sytuację, namawia ją na zmianę wiary. Kiedy odmawia, rozwścieczony muzułmanin podcina jej gardło i porzuca jej ciało zawinięte w welon. Maria nie umiera. W widzeniu słyszy słowa, że księga jej życia nie została jeszcze zapisana. Budzi się w grocie, podczas gdy jej szyję zaszywa zakonnica, piękna, w świetlistej szacie koloru nieba. Po latach Mariam już wie, że podczas choroby pielęgnowała ją sama Najświętsza Panna, która zapowiada jej przyszłość: *Nie zobaczysz już nigdy swojej rodziny; pojedziesz do Francji, gdzie zostaniesz zakonnica; będziesz dzieckiem św. Józefa, a potem córką św. Teresy. Nałożą ci habit karmelitański w jednym domu, śluby złożysz w drugim, a umrzesz w trzecim, w Betlejem.* Wszystkie te słowa wypełniają się w życiu Mariam. Najpierw jedzie do Francji, gdzie

przez kilka lat pracuje w różnych domach jako służąca. Już wtedy cechuje ją ogromna pokora i uległość przełożonym, a także świadomość własnej nicości. Kiedy słyszy od swoich gospodarzy słowa uznania i podziwu, natychmiast opuszcza ich dom. Wstępuje do zakonu św. Józefa, lecz Bóg ostatecznie kieruje jej kroki do Karmelu i tu objawia niezwykle obdarowanie. Życiu Mariam towarzyszy wiele nadzwyczajnych zjawisk, jak ekstazy, stygmaty czy opanowanie jej ciała przez Anioła. To wtedy nazywa ją on „Małym Nic”, prosząc siostry, by zawsze ćwiczyły ją w pokorze i nie dały jej doświadczyć, że jest duszą wybraną, na którą Bóg wylał tak liczne łaski.

W piekle można znaleźć wszystkie cnoty, z wyjątkiem pokory. W niebie znaleźć można wszystkie wady, z wyjątkiem pychy. Oznacza to, iż Bóg wybacza duszy pokornej, ale za nic uważa największą cnotę pozbawioną pokory.

Małeńka jak mrówka

I rzeczywiście, Maria jakby nie ma świadomości własnego obdarowania, ekstazy nazywa snem, a stygmaty znakami trądu, które pragnie ukryć przed światem. O niezwykłych darach mówi: *Słyszałam, że stany takie są bardzo niebezpieczne! Boże, wybaw mnie od tego wszystkiego. Niech sama wiara wystarczy! Tak, żadnej pychy!* Kiedy podczas jednego ze „snów” Jezus ukazuje jej się z dziewczynką na ręku bardzo podobną do niej i zapewnia o miłości do tego dziecka: *Patrz, jak trzymam je w ramionach, a ono nawet o tym nie wie, Maria woła: Gdybym to była ja, to przyrzekam, iż czułabym to i była szczęśliwa. O, małeńkie dziecię, módl się za mnie, grzeszną. Ty jesteś czyste, a ja pełna win.*

Pewnego dnia widzi w ogrodzie małeńką mrówkę i dużego robaka. Mrówka – symbol pokory – niesie duży ciężar, a robak – symbol pychy – zostaje przygnieciony słomką. Maria słyszy głos: *Miluję tę mrówkę, gdyż jest małeńka; dlatego zbuduję na niej duży dom.* Zakonnica odpowiada: *Nie wiem, jaka jest ta mrówka, lecz chciałabym być jak ona.*

W klasztorze wybiera zawsze najniższe i najmniej wdzięczne prace i obowiązki. Im większe dary Pan jej powierza, tym bardziej wzrasta w pokorze. O łasce udzielanej przez Boga mówi: (...) *gdy łaska nie prowadzi do poniżenia i upokorzenia siebie, należy się jej wystrzegać, gdyż nie pochodzi od Boga. Prawdziwa*

(...) gdy łaska nie prowadzi do poniżenia i upokorzenia siebie, należy się jej wystrzegać, gdyż nie pochodzi od Boga. Prawdziwa

laska prowadzi do unicestwienia siebie samego. Wiem, że taka jest prawda, bowiem gdy Bóg udziela mi łaski, widzę swą nicość i nędzę tak, że nie mogłabym tego znieść, gdyby On sam nie wspomógł. Innym razem mówi: *W piekle można znaleźć wszystkie cnoty, z wyjątkiem pokory. W niebie znaleźć można wszystkie wady, z wyjątkiem pychy. Oznacza to, iż Bóg wybacza duszy pokornej, ale za nic uważa największą cnotę pozbawioną pokory.*

Dusza pokorna to królowa

Podczas ekstazy Pan często poucza ją o pokorze, pokazuje jej obrazy. Ta nauka nie jest tylko dla niej. Któregoś razu słyszy głos Jezusa: *Jest to wiek, w którym wąż rozwinął skrzydła, i to dlatego oczyszcze ziemię. – Kto więc zostanie zbawiony? –* pyta Maria. *Ten, który prosi o pokorę i ćwiczy się w niej –* słyszy odpowiedź. Święta o pokorze mówi: *Pokora to pokój!... Dusza pokorna to królowa. Jest zawsze szczęśliwa. W walce, w cierpieniu, ona się upokarza, uważa, że zasługuje na więcej cierpienia, prosi o więcej, trwa zawsze w pokoju... Pycha przynosi niepokój. (...) Pan mówi: Dusza pokorna, prawdziwie pokorna uczyni więcej cudów niż dawni prorocy. Zaraz po tych słowach poucza siostry o wierności Regule. We wszystkich wskazówkach, jakich z posłuszeństwa udzielała duszom, powraca do tematu pokory: Bądźcie maleńkie jak dżdżownica, ale jak dżdżownica pod ziemią. Dżdżownica na powierzchni ziemi jest deptana albo pożerana przez inne zwierzęta, a pod ziemią żyje i jest ukryta przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Innym razem: Pokora w świetle Bożym pokazuje Boga. Jeśli wpadacie w grzech, nie zniechęcajcie się, ale podnieście się, uniżając się. Szczęśliwy człowiek, który poszukuje uniżenia; nie może nim zachwiać całe piekło.*

Dusza pokorna to królowa. Jest zawsze szczęśliwa. Pycha przynosi niepokój. Dusza pokorna, prawdziwie pokorna uczyni więcej cudów niż dawni prorocy.

I rzeczywiście, tej, która posiada cnotę pokory w najwyższym stopniu, nie może pokonać całe piekło. Kiedy święta doświadcza ogromnych cierpień duchowych i cielesnych, dręczona przez diabła, a właściwie cały legion demonów, który z dopustu Bożego może poddawać ją strasznym torturom, nie jest on w stanie jej zwyciężyć. Gdy przez przełożonych traktowana jest szorstko i kiedy wątpią oni w prawdziwość jej nadzwyczajnych darów, to również

nie zatrzymuje jej w drodze. I te szpilki codzienności... Mimo że mówi jedynie z posłuszeństwa i kiedy jest pytana, dla dobra duchowego bliźnich, nie raz zostaje nazwana gadułą, innym razem grubą chłopką czy flejtuchem. Nigdy się nie tłumaczy, nie broni, ani nie uskarża. O relacji do stworzeń mówi: *Kiedy jest prawdziwa pokora, to nie niepokoimy się o uznanie, osąd i spojrzenie stworzenia.*

Pokora jest więc potężnym orężem w duchowej walce. Demon, którego zgubiła pycha, powalany zostaje przez uniżenie. Święta pewnego dnia wyczerpana zmaganiem woła: *Co zrobić, mój Boże? Użyłam już wszystkich narzędzi, wszystkich rodzajów najpotężniejszych broni – by powalić diabła – i nie udało mi się. Jezus jej odpowiada: Nie użyłaś wszelkiej broni, zostaje ci jeszcze posłużyć się małą siekierką, na którą nie zwróciłaś uwagi. Dotknij czoła szatana tą siekierką, a on upadnie. Maria pyta: Co to za siekierka, której moc jest tak wielka? To – odpowiada Pan – jest siekierka pokory. I rzeczywiście, staje się tak, jak zapowiada to Jezus – wróg zostaje pokonany.*

Dwa ogrody

Jak miła jest Jezusowi dusza pokorna, widzi święta w wizji, którą ukazuje jej Zbawiciel: *Widziałam ogród w formie serca, a ogród ten był suchy, opustoszały. Drzewa były uschnięte, nie miały liści, trawa spalona, nie było ani wody, by ugasić pragnienie, ani powietrza, by można było oddychać. Następnie w oddali widziałam Jezusa, był smutny, cierpiał, płakał (...). Jezus wszedł do tego wyschniętego ogrodu, ale nie znalazł tam ani powietrza, ani wody, ani cienia i posmutniał jeszcze bardziej (...). Nie pozostał tam długo; (...) i wszedł obok do drugiego ogrodu. W tym ogrodzie znalazł zieleń, kwiaty, drzewa owocowe i dojrzałe owoce. (...) W tym ogrodzie wydawało się, że Jezus powraca do zdrowia, był młody, uśmiechnięty. Pytając o znaczenie tej wizji, otrzymuje wyjaśnienie: Drugi ogród przedstawia duszę wierną i pokorną, która otrzymuje i zachowuje łaski, a pierwszy ogród, który nie jest zadbany, jest obrazem dusz pysznych, które nie zachowują dla siebie wody łaski, bo są ofiarami namiętności, które je trawia.*



Powietrze, którym się oddycha w drugim ogrodzie, jest obrazem pragnień duszy skierowanych ku Jezusowi: te pragnienia są jej życiem. Kwiaty przedstawiają cnoty duszy; owoce dobre uczynki, umartwienia, pokutę, poprzez które zdobywają inne dusze dla Jezusa.

Szczęśliwy człowiek, który poszukuje uniżenia; nie może nim zachwiać całe piekło.

Kiedy poznajemy życie Marii od Jezusa Ukrzyżowanego, nie mamy wątpliwości, że ona jest jednym z najpiękniejszych ogrodów. Ale my także jesteśmy wezwani do tego, by stawać się takim miejscem, w którym Jezus może odpocząć i zaspokoić pragnienie. Jeśli mamy świadomość tego, jak daleko nam do ideału, Bóg daje nam swoich świętych, którzy poprzedzili nas w tej drodze. Potwierdzają to słowa

Marii: *Jest wielu świętych, którzy uświęcili się przez pychę, ponieważ całe życie pracowali nad tym, by ją zwalczyć i czynić coś przeciwnego temu, do czego pycha ich zachęcała. Kiedy popychała ich do tego, by poszli do przodu, oni szli do tyłu; kiedy do tego, by się wywyższać, oni się uniżali; kiedy do tego, by otwierać oczy, oni je zamykali; kiedy do tego, by mówić, oni milczeli.*

Jezu, Ty, który dajesz nam dusze wybrane, a one jak latarnie oświetlają nam drogę podążania za Tobą, dziękuję Ci za to światło, którego udzielasz nam przez przykład życia św. Marii od Jezusa Ukrzyżowanego. Ty, który sam jesteś cichy i pokorny sercem i który umarłeś, aby wszystko uczynić nowe, złamać pychę szatana i uzdrowić pychę ludzkiego serca, przemień nas. Daj nam Twoje święte pragnienia, byśmy chcieli wzrastać w pokorze. Amen.

Na podstawie: o. Pierre Estrade, *Mariam. Święta Palestynka*; Amédée Brunot SCJ, *Miriam – Mała Arabka*

I bądźcie wdzięczni!

(Kol 3,15)



Ten prosty nakaz świętego Pawła często trudno realizować w życiu codziennym. Przygniatają nas troski doczesne, ulegamy pokusom porównywania się z innymi, a przecież zawsze znajdzie się ktoś, kto ma, znaczy, potrafi więcej. Zagonieni w codziennych obowiązkach tak łatwo zapominamy, że wszystko jest łaską. Ulegamy także pokusie bycia samowystarczalnym, co zatrzymuje nas w odpowiadaniu wdzięcznością na dar bezwarunkowej miłości Boga, który dał nam wszystko. O ile łatwiej popaść w zgorzknienie, pretensjonalność czy pychę, zamiast uwielbiać i być wdzięcznym. Jak ważne jest, byśmy zrobili rachunek sumienia, przyjrzeni się naszej postawie serca, na ile trwamy w dziękczynieniu. Święty Ignacy wskazał, że to właśnie niewdzięczność jest korzeniem wszelkiego zła i grzechu: *Kiedy się to rozważy w obliczu Jego Boskiej dobroci, to wśród*

wszelkich wyobraźalnych niegodziwości i grzechów niewdzięczność należy do najbardziej obrzydliwych rzeczy wobec naszego Stwórcy i Boga i wobec stworzeń, które uczynił On dla swojej Boskiej i wiecznej chwały; jest ona zapoznaniem otrzymanych dóbr, łask i darów; przyczyną, początkiem i źródłem wszelkiego zła i grzechów.

Dlaczego tak trudno trwać w postawie wdzięczności? *W ludzkim życiu istnieją przede wszystkim trzy „zabójcy wdzięczności”. Pierwszym jest duma, która wierzy, że wszystko musi sama zrobić i być „sobą” tylko wtedy, kiedy sama wszystkiemu podola i wszystko jedynie sobie zawdzięcza. Drugim jest łatwość, z jaką wszystko się przyjmuje; nie uświadamia się już sobie, że zdrowie, udane przedsięwzięcie, wspaniała pogoda itd. są darami. Trzecim „zabójcą wdzięczności” jest fałszywe myślenie wymaganiami, które sądzi, że*

do wszystkiego ma prawo, i wymaga tego, co może być jedynie darowane (Willi Lambert SJ, Słownik duchowości ignacjańskiej). Tak bardzo promuje się dziś samowystarczalność – zamiast uznać, że wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia (Flp 4,13). Niekiedy tak postępujemy, jakbyśmy sami mogli zaradzić każdemu problemowi – dominuje samodzielność, samowystarczalność, samorealizacja – nasze bożki, z „ja” w centrum, bez Boga i należnej Mu czci. Takiej pokusie ulec możemy także i my – wystarczy przyjrzeć się swoim codziennym wyborom, myślom, temu, na co przeznaczamy czas... Największą przeszkodę w byciu wdzięcznym stanowi bezbożność, zarówno teoretycznie uzasadniana, jak ta praktycznie panująca w naszym sercu. O ile człowiek pobożny cały zwraca się do Boga, to bezbożny – siebie stawia w centrum. Żywi on błędne przekonanie, że wszystko zawdzięcza sobie. Na tępy głupotę tego pogańskiego przekonania trudno znaleźć sposób. Święty Paweł w takiej sytuacji mówił bez ogródek: „choć Boga poznali, nie oddali Mu czci jako Bogu ani Mu nie dziękowali, lecz znikczemnieli w swoich myślach i zaćmione zostało bezrozumne ich serce. Podając się za mądrych stali się głupimi” (Rz 1, 21-22) (Krzysztof Osuch SJ, O byciu wdzięcznym jak święty Ignacy Loyola).

Kolejni dwaj ze wskazanych „zabójców” wdzięczności to niedostrzeganie wszystkiego, co mam, jako daru, przyzwyczajanie się do tego, co mam, jako oczywistości i wreszcie pokusa uznania czy dążenia do tego, że wszystko mi się należy. Prawdą natomiast jest to, że codziennie mamy za co dziękować naszemu Panu: za kolejny dzień, który otrzymaliśmy, rodzinę, zdrowie, siłę w przeciwnościach. *Najstraszliwszą i najbardziej pozbawioną serca niesprawiedliwością jest bowiem odmawianie naszemu Stwórcy i Odkupicielowi wdzięczności za bezmiar Jego darów, których nam udziela. Jeżeli rzeczywiście będziecie starali się być sprawiedliwi, będziecie też często zastanawiać się nad waszą zależnością od Boga – bowiem „cóż masz, czego byś nie otrzymał?” – i napełnicie się wdzięcznością i pragnieniem odwzajemnienia się Ojcu, który nas kocha aż do szaleństwa. Odżyje w was wówczas dobry duch synowskiej miłości, dzięki któremu będziecie się zwracali do Boga z czułością serca. Nie dajcie się omamić obłudnikom, kiedy wokół was zaczną siał wątpliwości, czy Bóg ma prawo żądać od nas aż tak wiele. Stańcie w obecności Boga bezwarunkowo, ulegli jak glina w rękę garncarza i wyznajcie z pokorą: Deus meus et omnia! Jesteś mi Bogiem i wszystkim! (św. Josemaria Escriva, Przyjaciele Boga).* Tymczasem z większą łatwością wskazać możemy, w czym nie dostajemy, w czym odczuwamy braki, czego nie posiadamy, a co byśmy chcieli, co inni mają. Łatwiej jest popaść w niezadowolenie, zgorzknienie, szemrać niż dostrzegać ogrom łask, które Pan darmo nam dał: *Kupiec mieni*

*szczęśliwym rolnika z powodu jego bezpieczeństwa; rolnik kupca z powodu bogactwa. W ogóle rodzaj ludzki jest jakiś niezadowolony, przygnębiony i narzekający na swój los. Nie ma nic marniejszego od sławy ludzkiej. Piastujący urząd człowiek twierdzi, że nie ma nic moźniejszego, jak troszczenie się o cudze potrzeby, a poddany, że nie ma nic podlejszego, jak podleganie cudzej władzy (św. Jan Chryzostom). Naród wybrany tak długo wędrował do Ziemi Obiecanej także z powodu szemrania, niezadowolenia i niewdzięczności: *Ojcowie nasi w Egipcie nie pojęli Twych cudów, nie pamiętali ogromu łask Twoich, lecz zbuntowali się przeciw Najwyższemu nad Morzem Czerwonym. Ale ocalił ich przez wzgląd na swoje imię, aby objawić swoją potęgę. Zgromił Morze Czerwone i wyschło, i poprowadził ich przez fale jakby przez pustynię. I ocalił ich z ręki ciemności, i z ręki przeciwnika uwolnił. Wody pokryły ich wrogów: ani jeden z nich nie pozostał. Słowom więc Jego uwierzyli i śpiewali Jemu pochwały. Szybko o dziełach Jego zapomnieli: na Jego radę nie czekali. Pałali żądzą na pustyni, na próbę wystawiali Boga na odludziu (...). Zamienili swą Chwałę na wizerunek cielca jedzącego siano. Zapomnieli o Bogu, który ich ocalił, który wielkich rzeczy dokonał w Egipcie, dziwów – w krainie Chama, zdumiewających – nad Morzem Czerwonym (Ps 106,7-14.20-22).* Czy i my nie zapominamy łatwo o Tym, który nas wielokrotnie ocalał, dokonał wielkich i zdumiewających rzeczy?*

Jak walczyć z tymi pokusami, jak ćwiczyć się we wdzięczności? Słowo Boże zachęca nas: *Ogłaszajcie przed wszystkimi ludźmi dzieła Boże, jak są godne uwielbienia, i nie wahajcie się wyrażać Mu wdzięczności (Tb 12,6). Dziękujcie zawsze za wszystko Bogu Ojcu w imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa! (Ef 5,20).* Jak jednak to czynić? Podpowiedzią może być pierwszy punkt ignacjańskiego rachunku sumienia, w którym św. Ignacy zachęca, aby każdego dnia podziękować Bogu, naszemu Panu, za otrzymane dobrodziejstwa (CD, 43). Jak podkreśla ojciec Józef Kozłowski SJ: *Żyjąc we wdzięczności Bogu za wszystko, zgadzamy się na prowadzenie nas przez Ducha Świętego, nie dajemy okazji pokuszeniom przychodzącym przez nieuporządkowane zmysły i nie zaniedbujemy dobra, które zostało nam dane. Zawsze, gdy dziękujemy, przybliżamy nadejście wewnętrznego pocieszenia, radości i pokoju (Rachunek sumienia, s. 11).*

I bądźcie wdzięczni! Słowo Chrystusa niech w was przebywa z [całym swym] bogactwem: z wszelką mądrością nauczajcie i napominajcie samych siebie przez psalmy, hymny, pieśni pełne ducha, pod wpływem łaski śpiewając Bogu w waszych sercach. I wszystko, cokolwiek działacie słowem lub czynem, wszystko [czyńcie] w imię Pana Jezusa, dziękując Bogu Ojcu przez Niego (Kol 3,15b-17).



Kościół jest dla nas darem

Marta Kalniuk

Dziś będziemy się pochylać nad tajemnicą Kościoła i wspólnoty – nie tyle po to, żeby kogoś tu przekonywać do tego, że Kościół jest nam potrzebny, że to nie jest jakaś instytucja, mury i czy da się wierzyć, nie trwając w nim. Chcemy raczej zrozumieć, jakie jest w nim nasze miejsce i jak wielkim jest dla nas darem.

Zanim zaczniemy mówić o Kościele, trzeba sobie uświadomić, że nie jest on tworem ludzkim, ale jego powstanie było przede wszystkim pragnieniem samego Boga. On, istniejąc we wspólnocie trzech Osób, chciał, abyśmy uświęcali się, trwając również we wspólnocie. Greckie słowo *ecclesia* oznacza „wołanie, zwołanie, nawoływanie”, dlatego że Kościół rodzi się poprzez głoszenie Bożych myśli, zamiarów, które zainicjował Pan Jezus, kiedy przyszedł na świat. On jest przez wieki oczekiwanym Mesjaszem, zapowiadany przez wielu proroków Starego Testamentu. Kiedy przyszedł na świat jako obietnica dana przez Ojca, zapoczątkował też Swoją Kościół. Zaczynając Swoją działalność, objawiał i głosił Boże zamiary – sobie współczesnym, ale również nam, poprzez to, że trwamy w Kościele,

objawia Swoje Królestwo, które przychodzi nie tylko w przepowiadaniu, ale także w Jego znakach i czynach. Po nich właśnie rozpoznajemy, że zaczyna się zupełnie nowy rozdział w dziejach świata: powstanie ludu Bożego o przemienionym sercu. To wszystko ma też znaczenie w naszym życiu, bo przyjęcie Jezusa i Jego królestwa oznacza otwarcie się na zupełnie nową rzeczywistość, która ma nas przemienić – nasze serce, myślenie, sposób bycia. Kiedy Pan Jezus zaczął Swoją działalność, powołał uczniów, czyli zgromadził wokół siebie wspólnotę. Był w tym głęboki zamysł Boży. Uczniowie zaczynają chodzić za swoim Mistrzem, są pierwszymi, którym Pan Jezus wyjaśnia sprawy królestwa Bożego. Do innych osób mówi w przypowieściach, a im przekazuje najważniejsze tajemnice. Są oni zaczątkiem Kościoła. Poprzez to, że cały czas przebywają ze swoim Mistrzem, uczą się zupełnie nowego sposobu życia i modlitwy.

Jednak rzeczywisty początek Kościoła ma miejsce wtedy, kiedy Pan Jezus oddaje za nas Swoje życie na Krzyżu, kiedy daje przebić Swoje Serce, a z niego – jak

podaje *Katechizm Kościoła katolickiego* – wypływają dwa najważniejsze źródła życia chrześcijańskiego: woda, która symbolizuje chrzest i Krew, oznaczająca Eucharystię. Poprzez Swoją śmierć na Krzyżu Pan Jezus zwyciężył grzech, śmierć i szatana. Została tam także pokonana każda ludzka sytuacja, która wydaje się beznadziejna, każda nasza słabość i choroba. Moc, która płynie z tego zwycięstwa, rozlana jest w Kościele poprzez sakramenty. Musimy to sobie uświadomić, że, trwając w nim, mamy ogromną łaskę do dyspozycji. Kolejnym momentem, kiedy Kościół rodzi się w znaku, jest Dzień Pięćdziesiąticy. Apostołowie trwają na modlitwie, tak jak przykazał im Pan Jezus, i według Jego obietnicy zstępuje na nich Duch Święty. Nad każdym z nich pojawia się język z ognia, ofiarowując swój dar. Następnie trwają we wspólnocie, łamaniu chleba i dzieleniu się Słowem. Mimo że Jezus wstąpił do nieba, zostawił po sobie spuściznę, czyli Swoją Kościół. Ma on realizować przedłużenie misji samego Mesjasza, czyli głosić Słowo Boże i objawiać moc Jezusa w znakach.

Nie będę teraz robić wykładni teologicznej, co każdy sakrament wnosi w nasze życie, ale postaram się pochylić nad tym, co jest dla nas najważniejsze i z czego na co dzień możemy czerpać. W każdym z siedmiu sakramentów w szczególności obecny jest sam Chrystus. Pierwszym z nich, dzięki któremu zostajemy wszczępieni w Kościół, jest chrzest. On też uwalnia nas spod władzy szatana i grzechu. Oznacza to, że zło nie ma już nad nami panowania. Mamy w sobie łaskę i siłę, żeby je pokonać, żeby nami nie kierowało. Chrzest jest też naszymi narodzinami do życia nadprzyrodzonego, ponieważ dzięki niemu w każdego z nas zostaje wszczepiona łaska świętości. Oczywiście, już od nas zależy to, czy będziemy ją w sobie pielęgnować i podejmiemy zadanie. Każdy z nas jest jednak wezwany do świętości, a chrzest nas do tego zobowiązuje. Kolejny sakrament to bierzmowanie. W nim są nam udzielone dary Ducha Świętego. Otrzymujemy Jego szczególną moc i stajemy się posłani do dawania świadectwa, czyli do podjęcia misji Kościoła. Przyjmujemy więc nie tylko pewne obdarowanie, ale otrzymujemy także zadanie. Kolejny sakrament, który jest *źródłem i szczytem całego życia chrześcijańskiego*, to Eucharystia. W niej składamy Bogu ofiarę – Ciało i Krew Jego Syna, a wraz z Nią siebie samych. *Przy łamaniu chleba eucharystycznego*

uczestniczymy w rzeczywisty sposób w Ciele Pańskim. Jako katolicy wierzymy, że nie jest to jakaś pamiątka, tylko urzeczywistnia się w czasie mszy świętej Ofiara, którą Pan Jezus dokonał na Krzyżu. To znaczy, że kiedy idziemy na Eucharystię, za każdym razem stajemy na Golgocie, a tam właśnie Jezus pokonał śmierć, grzech i szatana, ale też każdą naszą słabość i ciemność. Kiedy mamy różne troski i problemy, przychodzimy na Eucharystię z wiarą, że stajemy na Golgocie, by wszystko to oddawać Bogu. Przynosimy też różne osoby, które są nam dane i zadane. Tu są uzdrawiane nasze rany, bo *w Jego ranach jest nasze uzdrowienie*. Patrzymy na Niego i jesteśmy dotykani łaską uzdrowienia. To jest moc Eucharystii. W każdej mszy świętej ponawia się też wydarzenie Pięćdziesiąticy, czyli na nowo jest nam udzielany Duch Święty. Poprzez nią często jesteśmy pokrzepieni, podniesieni, otrzymujemy nowe światło.

Kilka słów trzeba powiedzieć o sakramencie pokuty. Mówi się, że to sakrament miłosierdzia. Otrzymujemy poprzez niego dar przebaczenia zniewagi wyrządzonej Panu, dostępujemy pojednania z Kościołem i z Bogiem, którym zadaliśmy ranę swoim grzechem. Poprzez ten sakrament Duch Święty odnawia w nas życie Boże, jesteśmy obmywani w Najdroższej Krwi Jezusa. To wszystko, co nas splamiło, jest zmywane. Otrzymujemy łaskę uświęcającą, czyli taką, która ma nam pomóc poprawiać własne życie i dążyć do świętości. Nieraz doświadczamy tego, że spowiedź jest dla nas ogromnym darem, kiedy prowadzimy różne walki duchowe czy przechodzimy trudny czas. Ona uwalnia nas od mocy złego. Kiedyś ks. Glas wspominał, że diabeł tak powiedział o spowiedzi na egzorcyzmie: „Jakie sprawia mi katusze ta Krew tego waszego Boga, jak ona mnie miażdży. Obmywa wasze dusze i zmusza mnie do ucieczki”. Musimy więc mieć świadomość, że spowiedź jest źródłem, z którego otrzymujemy łaski. Nieraz tego doświadczam. Czasami nawet co tydzień chodzę do spowiedzi, ksiądz, u którego się spowiadam, nigdy się nie gorszy, a dla mnie to ogromna moc i pokrzepienie.

Kolejny sakrament, o którym chcę powiedzieć, to namaszczenie chorych, poprzez które *cały Kościół poleca chorych cierpiącemu i uwielbionemu Chrystusowi*. O tym sakramencie pięknie mówi *List św. Jakuba: Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popelnił grzechy, będą mu odpuszczone* (Jk 5,14-15).

Mamy jeszcze sakrament kapłaństwa. Kapłani ustanowieni w Imię Chrystusa są po to, aby *karmili lud Boży Słowem i łaską Bożą. Mają władzę sprawowania Ofiary eucharystycznej i odpuszczania grzechów*. Nikt inny na świecie jej nie ma.

Moc sakramentu małżeństwa z kolei wyraża tajemnicę jedności i płodnej miłości pomiędzy Chrystusem a Kościołem. Małżonkowie wspomagają się wzajemnie w życiu małżeńskim i wychowaniu dzieci do zdobycia świętości. Chrześcijańskie małżeństwo ma zadanie, by pokazać dzieciom ich miejsce w planie Bożym.

Sakramenty są jasno wytyczoną przez Chrystusa drogą, na której nikt, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajduje, nie jest pozbawiony łaski na drodze świętości. Tu otrzymujemy wszystko, co jest nam potrzebne. Ale żeby odkryć tajemnicę Kościoła i swoje w nim miejsce, najpierw musi się w nas dokonać ważne wydarzenie, czyli osobiste spotkanie Jezusa. Dzisiejsze czasy, jeżeli chodzi o przyjęcie i zrozumienie roli Kościoła, są bardzo trudne, dlatego że wielu uważa, że jest on jakąś skostniałą instytucją, że głosi zaścianek. Dzieje się to jednak wtedy, kiedy brakuje w naszym sercu osobistego opowiedzenia się po stronie Chrystusa. Pan Bóg nie jest obojętny wobec tego, co się dzieje, że Kościół jest tak postrzegany i na uspienie swoich dzieci. Zobaczcie, że mamy teraz bardzo wiele wspólnot. To nie przypadek, ale pewien zamysł Boga, dlatego że właśnie dzięki nim odkrywamy swoje miejsce w Kościele, nie jesteśmy anonimowi, ale spotykamy tam świadków wiary. Dlatego tak ważne jest, by w nich trwać.

Wspólnota była w zamysłu Bożym od początku, Pan Jezus ją wokół siebie gromadził. Zaczął od zaledwie 12 uczniów, później Kościół się rozrastał. We

wspólnocie doświadczamy mocy modlitwy, miłości, świadectwa i misji. Modlitwy – bo Słowo Boże mówi: *Gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich* (Mt 18,20). Nieraz przekonujemy się, że kiedy trwamy na modlitwie we wspólnocie, jest ona dla nas szczególnym darem i bardzo pokrzepia. Myślę, że to staje się waszym udziałem na różnych spotkaniach i rekolekcjach. Doświadczamy tego co tydzień, trwając we wspólnocie wiele lat, że ta modlitwa ma ogromną moc. Tutaj uczymy się na nowo żyć według nauki Chrystusa, według prawa miłości, przebaczenia, dojrzałych relacji. Ta miłość braterska wylewa się też na zewnątrz jako świadectwo, które daje wspólnota. Nieraz tak jest, że ktoś się zachwyca, nie tyle tym, jak coś zrobiliśmy, ile tym, jaką jesteśmy wspólnotą. Z drugiej strony gdybyśmy nie byli w niej, nie moglibyśmy robić tego, co robimy. Kiedy jest nas wielu, uwidacznia się bogactwo darów i talentów, w tym też tkwi siła. Każdy z nas pojedynczo nie byłby w stanie robić tego, co cała wspólnota. Tutaj też każdy z nas osobiście odkrywa swoje miejsce w Kościele. To we wspólnocie dokonuje się nasze uzdrowienie poprzez służbę. Jestem tu już wiele lat i wydaje mi się, że nie ma innej drogi niż podjęcie posługi. Nie istnieje coś takiego jak samouzdrawianie. Człowiek musi wychodzić do służby innym, a wtedy ten proces w nim następuje. Wspólnota to również miejsce uświęcenia. Chroni przed letniością, bo wzajemnie się napominamy, bezpośrednio i pośrednio. Wystarczy, że człowiek przyjdzie na spotkanie i usłyszy coś dla siebie – czy przez świadectwo innego, czy przez głoszone Słowo. To naprawdę chroni przed tym, żeby nie chodzić za fałszywymi prorokami i żeby nasze serca nie stygły, bo serce ludzkie ma to do siebie, że jest bardzo gnuśne, przewrotne i leniwe. Wspólnota jest też siłą, bo nie wiem, jak bym się ostała w świecie, w wierze, gdyby nie świadectwo moich braci.

Cytaty za: o. Józef Kozłowski SJ, *Życie w Duchu Świętym*.

Konferencja wygłoszona 7 XII 2015 r. podczas Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym, prowadzonego przez Wspólnotę Posłanie

świadećtwo



Pan wezwał
mnie, bym
została Jego
uczniem

Mam na imię Agnieszka i chciałabym się z wami podzielić, w jaki sposób odkrywałam swoje miejsce w Kościele i we wspólnocie. Zaczęło się bardzo zwyczajnie i standardowo – urodziłam się w rodzinie katolickiej, zostałam ochrzczona jako niemowlę, co tydzień chodziłam do kościoła, na katechezy najpierw w salkach, a potem w szkole. Charakterystyczne dla mojej rodziny było jednak to, że praktyki religijne odbywały się w kościele, a w domu Pan Bóg był tematem tabu. Nigdy nie modliliśmy się wspólnie, nie widziałam moich rodziców klęczących poza murami świątyni. To były dwie zupełnie odrębne rzeczywistości. W mojej głowie powstał obraz, że wiara ogranicza się do kościoła. Przez lata miałam problem z codzienną modlitwą, zwłaszcza poranną, ciągle o niej zapominałam. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że działo się tak dlatego, że była dla mnie po prostu obowiązkiem, a nie spotkaniem z żywą osobą, z Jezusem. Notorycznie o niej zapominałam i wciąż się z tego spowiadałam, bo nie wiedziałam, o co chodzi.

Pierwszym wyłomem w moim postrzeganiu Kościoła była piesza pielgrzymka na Jasną Górę. Właśnie skończyłam podstawówkę, miałam 15 lat i wpadłam na taki wspaniały pomysł, zupełnie nie wiedząc, w co się pakuję. Nie było wtedy telefonów komórkowych i nie dało się wycofać, a ja po pierwszych kilometrach nie miałam nawet siły, żeby dojechać do budki telefonicznej i zadzwonić; zresztą byłoby mi trochę wstyd. Drugiego dnia moje nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa – po kolei, jedno kolano, drugie, kostka jedna, kostka druga, stopy miałam całe w bąblach. Nie byłam w

stanie iść samodzielnie. Wtedy znalazła się osoba, która przez następnie 10 dni ciągnęła mnie na Jasną Górę, czasami jeszcze przy pomocy dwóch osób. Co mnie jeszcze bardziej zdumiało: weszłam w środowisko, w którym wszystko było inne. Ci ludzie bez przerwy się śmiali. Byłam strasznie zakompleksioną nastolatką, nakładając mnóstwo masek, nie potrafiącą się przyznać do żadnej słabości, bo zaraz zostało to w szkole wyśmiane, odpowiednio skomentowane, więc zamykałam się w sobie. A tu nagle wszyscy okazali się jacyś dziwni, otwarci, ciągle śpiewali: „Dobrze, że jesteś”. Na sam dźwięk tej piosenki dostawałam drgawek. Jednak z dnia na dzień patrzyłam na tych ludzi, często moich rówieśników, i widziałam, że to nie jest tylko poza, emocje. One mogą być, jak jest miło i przyjemnie, gdy spotkamy się raz na tydzień, ale nie dzień po dniu, kiedy żar albo deszcz się leje i trzeba komuś pomóc. Nic ci się nie chce, a ktoś jednak oprócz swojego plecaka bierze jeszcze twój i nie może liczyć na wzajemność. To doświadczenie bezinteresownej pomocy było dla mnie tak szokujące, że czułam, że coś w tym musi być i postanowiłam tam zostać. Wracalam do tej wspólnoty co roku.

W międzyczasie w parafii utworzyła się grupka byłych pielgrzymów i w ten sposób zaczęłam odkrywać powoli swoje miejsce w Kościele. Uczylałam się pierwszych drobnych posług, uczestnictwa we mszy świętej, czytania lekcji, niesienia darów, czasami sprzątało się kościół albo ubierało choinkę. Było to pierwsze doświadczenie wspólnoty, ale też czas uświadamiania sobie tego, że ktoś mnie postrzega jako

uczni. Bardzo mnie to budowało – czemu ci ludzie na trasie pielgrzymkowej, którzy nas witają, tak wszystko nam dają? Spełniały się słowa z Ewangelii, że kto poda kubek wody drugiej osobie dlatego, że jest uczniem, ten nie utraci swojej nagrody. Ci ludzie tak postępowali. Nie raz doświadczaliśmy niesamowitej gościnności. To było dla mnie szokujące – przecież nic takiego nie robimy, tylko idziemy, a otrzymujemy tyle dobra właśnie dlatego, że robimy to w Imię Jezusa.

W ten sposób mijały kolejne lata. Wspólnota pielgrzymów chroniła mnie przed totalną załamką, bo mając środowisko, w którym czułam się trochę lepiej, bardziej akceptowana, już tak bardzo nie cierpiałam z powodu odrzucenia i ostracyzmu towarzysko-społecznego, jaki czekał mnie w szkole. Z drugiej jednak strony, jak miałam kompleksy, tak wciąż je miałam. Bardzo nie lubiłam wystąpień publicznych, chociaż z nauką nie miałam najmniejszych kłopotów. Największym horrorem dla mnie było to, żeby ktoś zauważył, że czymś się denerwuję, że się źle czuję przy odpowiedzi. A kiedy na studiach w jednej grupie ćwiczeniowej byłam ja, jedna koleżanka i 30 facetów – to dopiero była porażka. Na samą myśl o tym, że mam stanąć przed grupą trzydziestu mężczyzn, ręce mi drżały. Nie denerwowałam się tym, że coś źle powiem, tylko tym, że ktoś mnie oceni, że coś sobie źle pomyśli. Byłam wręcz sparaliżowana strachem przed oceną innych. Ale środowisko pielgrzymkowe było inne. Nikt specjalnie nie wyrażał zdania o mnie, ale też... nic się nie zmieniało.

Kiedy zdałam maturę, przyjechałam na studia i dalej nic się nie działo w moim życiu, poza tym, że środowisko pielgrzymkowo-parafialne zamieniłam na duszpasterstwo akademickie. Wciąż żyłam w przekonaniu, że moja sytuacja jest jaka jest, ale jeśli chodzi o życie wiary, to wszystko jest w porządku. Przecież próbuję się modlić, chodzę co niedzielę na Eucharystię, czasami częściej, w coś się angażuję. Byłam uważna za osobę wierzącą i praktykującą i sama miałam o sobie mniemanie, że moja relacja z Panem Bogiem jest całkiem dobra, nie miałam sobie nic do zarzucenia. Jak mylny był to obraz, okazało się wtedy, kiedy Pan Bóg nie podpisał się pod moimi planami. Jak można się spodziewać, w wieku lat dwudziestu paru snułam wielkie marzenia, miałam ogromne pragnienie miłości, spotkania tego jedyne. Upatrzyłam sobie pewnego chłopaka, ponieważ mieliśmy tę samą grupę znajomych z duszpasterstwa akademickiego. Tak długo za nim chodziłam, aż zaczęliśmy się spotykać.



Kiedy jednak po trzech miesiącach mnie zostawił, wtedy pojawił się problem. Kto był winien całej sytuacji? Oczywiście, że Pan Bóg. Jak mógł mi to zrobić? Najpierw postawił tego człowieka koło mnie, a potem mi go zabrał. Miałam w sobie ogromny żal do Jezusa, coś się w moim sercu zamknęło. Wtedy rozpoczął się bardzo ciemny czas mojego życia, kiedy już nie miałam przekonania, że moja relacja z Panem Bogiem jest dobra, a jednocześnie nie wiedziałam, co z tym zrobić. Wypełniałam wciąż te same praktyki religijne, ale moje serce było zamknięte. Miałam wrażenie, że On się gdzieś schował, że Go nie widzę, nie mogę znaleźć. Szukam, szukam i nic. Ponieważ moje serce było zamknięte na wszystko, co się działo, również na korzystanie z łaski, którą Pan Bóg chciał mi dać, coraz bardziej zaczął nęcić mnie świat. A że na studiach, z dala od rodziców, możliwości jest sporo, wychodziłam coraz częściej z grupą innych znajomych ze środowiska dalekiego od wiary. Chodziliśmy co sobota na imprezy, po których wracałam totalnie zdołowana, że znowu nikogo nie poznałam. Było to mało budujące, ale tego nie widziałam, tak bardzo byłam przemielona przez światową papkę, mówiącą, że o wartości dziewczyny, młodej kobiety świadczy to, że jest z kimś i że jak pojawi się ten człowiek, to wtedy wszystkie jej kłopoty, kompleksy tak sobie znikną. Po prostu pojawi się człowiek i sprawi, że nagle zacznę być pewna siebie, poczuję się kochana i wszystko będzie super. Po pewnej imprezie znalazł się chłopak, z którym zaczęłam się spotykać i wtedy świat wciągnął mnie na dobre. Tylko Opatrzności Bożej mogę zawdzięczać, że nie zjechałam na dno, bo nie byłam w stanie się zatrzymać. Po trzech miesiącach, gdy zostawił mnie w bardzo gustowny sposób smsem, doświadczyłam – z dzisiejszej perspektywy patrząc – łaski Bożej, bo spadły mi z oczu łuski. Zobaczyłam, jak do tego momentu żyłam, co poświęciłam, że to, w co wierzyłam, wszystkie moje wartości nagle okazały

się nieważne ze względu na człowieka, którego tak w ogóle nie znałam. Zrozumiałam, że zostawiłam to wszystko, co było dla mnie ważne i zabrnęłabym dużo dalej, gdyby nie to, że on mnie zostawił. Miałam takie obrzydzenie do siebie, że nie byłam w stanie spojrzeć w lustro. Jak to – ja upadłam aż tak nisko? Jak mogłam to zrobić?

Byłam naprawdę w strasznym stanie i wtedy przyjaciele z duszpasterstwa akademickiego – ze wspólnoty Posłanie – zaprosili mnie na czuwanie w Wigilię Zesłania Ducha Świętego, które prowadziła wspólnota. Bardzo mnie namawiali. Szczerze mówiąc, wcale nie miałam ochoty iść ani z nikim się spotykać, a Pan Bóg był ostatnią instancją, do której chciałam się uciekać. Ale oni byli namolni. Mówili: „Przyjdź, zobaczysz, będzie super, zajmiemy ci miejsce, tylko przyjdź”. W takim razie przyszedłam. Zajęli mi miejsce... w pierwszej ławce, tuż przed ołtarzem. Gdybym mogła, coś bym im zrobiła. Tam już nic nie było, tylko ja, kawałek wolnej przestrzeni i ołtarz, na którym wkrótce wystawiono Najświętszy Sakrament. Już nie miałam gdzie się schować. Trwała modlitwa o uzdrowienie wewnętrzne, posługiwały również grupki modlitwy wstawienniczej. Nie pamiętam, jakie słowa padały, ale były one jak młot, który kruszył, kruszył i kruszył. Zaczęło się we mnie dziać coś dziwnego, walczyłam, żeby pójść i poprosić o modlitwę. Z drugiej jednak strony, jak miałam to zrobić? Jak w ogóle mogę się przed kimkolwiek przyznać, że jest mi źle, w dodatku przed ludźmi, których znam? To niemożliwe, nie ma takiej opcji! Nigdy nie mówiłam komukolwiek, co się dzieje w moim wnętrzu, ani rodzicom, ani przyjacielom – może jedna czy dwie osoby coś wiedziały, ale niewiele. Jak tu teraz przyjść i przyznać się przed kimś, że nie daję sobie rady z własnym życiem? Ta walka trwała bardzo długo, ale w końcu podeszłam do



fol. Tomasz Książczak

modlitwy. Byłam ostatnią osobą przed zakończeniem adoracji.

W czasie tej modlitwy stała się niespodziewana rzecz. Nagle zaczęłam płakać. Nie wiedziałam zupełnie, dlaczego, jednak gdy wstałam, czułam, że coś się zmieniło, jakby kamień spadł z mojego serca. Byłam zdezorientowana, nie wiedziałam, o co chodzi, ale moi przyjaciele ze wspólnoty wiedzieli i bardzo usilnie pracowali nad tym przez całe wakacje, żebym jesienią zaczęła Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym. Dopilnowali tego bardzo skutecznie, prawie że przyprowadzając mnie na siłę na pierwsze spotkanie. To był naprawdę błogosławiony czas – stawania w prawdzie o sobie, o swojej relacji z Bogiem, o swoim życiu, zobaczenia tego, że nie było tak cukierkowo, dobrze, fajnie, jak mi się wydawało. Powoli dostrzegałam, skąd się brały wszystkie moje kompleksy i zranienia. Pan Bóg zaczynał otwierać mi oczy, a mnie stopniowo wciągał duch wspólnotowości. Spotkania modlitewne bardzo mnie budowały. Chociaż to był bardzo zwariowany rok – końcówka studiów, a że wybrałam dwa kierunki, musiałam pisać dwie prace magisterskie jednocześnie. Do tego wszystkiego było seminarium. Kiedy z dzisiejszej perspektywy na to patrzę, to nie wiem, czy Pan Bóg dobę wydłużył, czy co zrobił, ale zostałam we wspólnocie i nie żałuję.

Krótko po zakończeniu seminarium pojechałam na I tydzień rekolekcji ignacjańskich, w milczeniu, które okazały się chyba najważniejszymi rekolekcjami w moim życiu. Była to kontynuacja drogi, którą przez poprzedni rok Pan Bóg mi pokazywał – stawiania siebie w prawdzie. Pamiętam szczególnie jedną medytację, którą zaleca św. Ignacy – rozważanie o własnych grzechach. W ramach przygotowania należało zrobić rachunek sumienia z całego życia, ale nie taki, że się wypisuje, co się zaniedbało czy zrobiło złego, ale również plusy i zalety. Patrzyłam na te dwie strony kartki, minusów był zdecydowanie więcej, ale nie wzbudzało to w moim sercu żadnych uczuć. Wiedziałam, że powinnam żałować, przeprosić Pana Boga za to, jak wyglądało moje życie, ale nie byłam w stanie. Czułam się zupełnie obojętna. Wtedy w sercu usłyszałam pytanie: „Córko, jak mogłaś zwątpić w Moją miłość?”. Powalił mnie ogrom miłości. W jednym momencie Pan dał mi zrozumieć, co było moją największą winą: to, że w Niego zwątpiłam, że otrzymując tak wiele, nie wierzyłam w to, że jestem Jego dzieckiem, że On zawsze był przy mnie, nawet wtedy, kiedy odchodziłam od Niego. W jednym momencie wszystko stało się

jasne. Nie pamiętam tego, co się działo przez następną dobę, bo to doświadczenie wciąż we mnie żyło i przemieniało mnie. Do tego stopnia, że gdy wróciłam z rekolekcji, w poniedziałek było spotkanie modlitewne, na którym przed wspólnotą dałam swoje świadectwo. Ja, która nigdy nie mówiłam o tym, co się we mnie dzieje, stanęłam przed grupą kilkudziesięciu osób i zaświadczyłam o tym, czego Pan Bóg dokonał. Jeszcze rok wcześniej byłoby to niemożliwe, ale nie mogłam zatrzymać dla siebie doświadczenia Bożej miłości. Ono było tak wielkie, że musiałam się nim dzielić.

Myślałam jednak, że moja przygoda ze wspólnotą dobiega końca. Kończyłam studia, wyjeżdżałam z Torunia z przekonaniem, że na zawsze, że będę tu tylko wpadać co jakiś czas w odwiedziny. Wróciłam do rodzinnej Bydgoszczy, szukałam pracy. Bardzo ważnym okresem w moim życiu był prawie rok spędzony za granicą, w Brukseli. Był to czas doświadczenia powszechności Kościoła: mój język francuski był w miarę dobry, ale nie znałam francuskiego liturgicznego i początkowo, żeby się zorientować, w jakiej części mszy świętej jestem, patrzyłam na gesty kapłanów. Nauczyłam się je rozpoznawać, bo gdy mszę sprawowano po flamandzku, w ogóle nie wiedziałam, co się dzieje. Było to dla mnie niesamowite, kiedy parę razy udało mi się brać udział w spotkaniach modlitewnych grupy charyzmatycznej i zostałam przyjęta jak swoja. Doświadczyłam ogromnej jedności, tego, że Kościół wszędzie jest taki sam. Ale z drugiej strony doświadczyłam tego, jak dobrze mamy w Polsce. Doznałam ogromnego głodu Eucharystii. Ze względu na nieuregulowany tryb pracy nie było to takie proste być na niej codziennie. Mszy było mało. To nie tak, jak w Toruniu, że w tej parafii jest odprawiana o 7, o 8.30, a w drugiej o 8 i 18, i jeśli mieszka się w mieście, nie ma żadnego kłopotu, żeby codziennie być na Eucharystii. Jeśli nie ten kościół, to sąsiedni, jeżeli w tym jest zimno, to można iść do drugiego. Do wyboru, do koloru. Gdzie komu jest bliżej, czy to w drodze do pracy, czy z powrotem. A tam – nie. Jeden kościół, jedna msza święta – jak się uda – w tygodniu, w niektórych świątyniach w dzień powszedni w ogóle nie było mszy. Głód Eucharystii był we mnie bardzo mocny. Zobaczyłam, jak wielkie bogactwo mamy tutaj, a tylko od nas zależy, czy z tego skorzystamy. Nie wspomnę już o takich przywilejach, jak sakrament pokuty. Nie byłam w stanie spowiadać się po francusku i jeździłam na drugi kraniec miasta, do polskiej misji katolickiej, ale we francuskojęzycznych kościołach konfesjonały przypominały najczęściej jakieś składziki. Nie było takiego widoku jak u nas, gdy się wchodzi do kościoła, a przede mszą czy w jej trakcie któryś z księży ma



foto: Małgorzata Kalinuk

dyżur w konfesjonale i codziennie można skorzystać z sakramentu pokuty. Tam nie ma takiego zwyczaju. To mnie zszokowało. Nie wiem, jak jest teraz, to było prawie 10 lat temu – podejrzewam, że może być jeszcze gorzej. Z drugiej jednak strony to mi uświadomiło, jak ogromne łaski mamy w Polsce. Niesamowitym doświadczeniem były niedzielne poranki. Miasto śpi. Wsiadłam do tramwaju, by jechać na polską mszę. Nasi księża wynajmują zabytkowy kościół w centrum, bo w niedzielę przyjeżdża aż tylu ludzi. Nagle słyszę polski, z drugiego krańca tramwaju. Puste ulice, prawie nie ma samochodów, na przystankach nieliczni ludzie, a im bliżej kościoła, tym bardziej widać, że wszyscy zmiierzają do tego jednego miejsca, gdzie zaraz zacznie się polska msza święta. To był niesamowity widok i doświadczenie. W mieście, które mogłoby przespać to, że jest dzień, kiedy świętujemy Zmartwychwstanie Pana, w Polakach wciąż był ogromny głód wiary, który sprawiał, że z różnych zakątków, nie tylko miasta, ale i kraju przyjeżdżali, by wspólnie się modlić i doświadczać łaski Pana.

Gdy po takim roku wróciłam do Polski, wydawało mi się, że teraz będzie dobrze. Pracowałam zdalnie, mieszkałam z rodzicami, modliłam się, chodziłam codziennie na Eucharystię. Ale, ku mojemu zaskoczeniu, coś było nie tak. Nie wiedziałam, co. Niby wszystko powinno być dobrze, ale czegoś mi brakowało. Codzienne życie stało się nudne, nie mia-

ło celu. Nie wiedziałam za bardzo, co z tym zrobić. Kiedy odwiedziłam pewnego razu przyjaciół ze wspólnoty, pamiętam, stanęli wszyscy w korytarzu mieszkania – piątka najbliższych przyjaciół – i Kasia, która stała na przedzie, wypaliła jak dynamit: „Aga, kiedy przeprowadzasz się do Torunia?”. Popatrzyłam na nią jak na kosmitę, ale ona mówiła serio. Oni byli przekonani, że powinnam wyprowadzić się z domu i wrócić do Torunia do Posłania. To była szalona myśl. Pomijam bydgosko-toruńskie animozje, ale niby po co miałabym wracać? Z ludzkich względów nic mnie tu nie trzymało: w Toruniu są droższe mieszkania, mniej pracy, nie mam tu rodziny. Ale to pytanie zostało we mnie i zaczęłam się nad nim zastanawiać. Im bardziej czułam, że moje dotychczasowe życie jest puste, tym bardziej skłaniałam się ku temu, by wrócić do Torunia. Kiedy latem pojechałam na kolejny tydzień rekolekcji ignacjańskich, bardzo mocno doświadczyłam tego, że Pan wzywa mnie, by być przede wszystkim Jego uczniem, a On się zajmie całą resztą – moim życiowym powołaniem, jego realizacją i tym wszystkim, co tak bardzo mnie zajmowało i tak ciężko było mi zostawić. Postanowiłam przeprowadzić się do Torunia i wtedy rozpętała się burza. Wszyscy z mojego najbliższego otoczenia spoza wspólnoty uważali, że zwariowałam. Rodzice, brat, wujkowie, ciotki, sąsiedzi, bliźni przyjaciele i dalsi znajomi, wszystkich jakby coś po prostu „trzępnęło”. Prawie że obcy mi ludzie zaczęli

mnie na ulicy i mówili: „Słyszałam od twojej mamy, że się przeprowadzasz. A po co to robisz? Przecież to bez sensu”. Dzisiaj wiem, że to była walka o to, żebym tu nie przyjechała, żebym wciąż tkwiła w swoim małym, bezpiecznym, gnuśnym światku aż do emerytury, bo nic by się nie zmieniło. Może raz w życiu Pan Bóg wykorzystał mój ośli upór, bo chociaż nie wiedziałam, dlaczego to robię, to byłam przeświadczona, że po prostu tak trzeba. Jak się uparłam, tak zrobiłam. Wróciłam do wspólnoty i bardzo szybko doświadczyłam tego, że tu jestem u siebie.

Zostałam zwerbowana do zespołu muzycznego, choć sama bym na ten pomysł nigdy nie wpadła. Przy różnych akcjach ewangelizacyjnych nagle się okazało, że mogę się w coś zaangażować. Pan Bóg pokazywał mi na różne sposoby, że mnie potrzebuje i jak mogę Mu służyć. Jednocześnie bardzo mocno doświadczyłam tego, że właśnie poprzez służbę Jezus uzdrowia. Nie miałam aż tyle czasu, żeby się zastanawiać nad stosem moich mniej lub bardziej wymyślonych problemów, ale po prostu miałam się zająć służbą Jemu, a On się rzeczywiście zajął całą resztą. W tej chwili jestem już szczęśliwą żoną i matką i bardzo mocno doświadczam tego, jak wiele wspólnota mi daje. Nie tylko ja daję, ale i otrzymuję. Rodzina zaczyna się przyzwyczajać, że nasze relacje z osobami ze wspólnoty to jest coś więcej. Miłość braterska, której doświadczamy ze względu na Jezusa, łączy nas w taki sposób, który ciężko przełożyć komuś, kto tego nie przeżywa. To nie tylko ludzkie względy, że razem świętujemy nasze śluby, chrzty naszych dzieci itd. Na co dzień możemy doświadczać swojej bezinteresownej pomocy, rady. Mogę się uczyć od starszych stażem w małżeństwie. Wiem, że rada od nich nie będzie według świata, ale będzie poparta życiowym doświadczeniem i życiem według wiary. Mogę patrzeć i uczyć się od innych. Na co dzień poznaję, jak wielką mocą jest wspólnota, nie wyobrażam sobie w tym momencie już innego życia, choć może wciąż niektórym wydaje się to dziwne. Z drugiej strony najbliżsi już trochę przestali pytać, bo widzą owoce, to, jak się zmieniałam. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że będę stać przed wami i mówić takie rzeczy, popukałabym się w głowę. Tak przy okazji Pan Bóg wyprowadził mnie z wielu słabości i kompleksów. Staralam się tylko robić swoje, a On zajął się resztą. Chwała Panu!

Agnieszka

Świadectwo wygłoszone 7 XII 2015 r. podczas Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym, prowadzonego przez Wspólnotę Posłanie

Potrzebujemy przejść proces uzdrowienia

z ks. Arturem Szymczykiem
„Krwią Jego ran
zostaliście uzdrowieni”



Toruń,
4-6 grudnia 2015

W pierwszy weekend grudnia prawie trzysta osób zgromadziło się w Międzynarodowym Centrum Spotkań Młodzieży na rekolekcjach prowadzonych przez ks. Artura Szymczyka, zatytułowanych „Krwią Jego ran zostaliście uzdrowieni”. Tematyka rekolekcyjnych rozważań oparta była o fragmenty Ewangelii o uzdrowieniu niewidomego pod Jerychem (Łk 18,35-43; Mk 10,46-52; Mt 20,29-34). Ten sam fragment z *Ewangelii wg św. Mateusza*, zgodnie z kalendarzem czytań liturgicznych, towarzyszył nam również w czasie piątkowej Eucharystii, która rozpoczęła rekolekcje. Ta niezamierzona przez prowadzącego zbieżność rodziła nadzieję, że to sam Pan zaplanował to, co miało się wydarzyć.

Na początku ks. Artur zaznaczył, że te rekolekcje mają być czasem osobistego uzdrowienia. Podkreślił, że dla Jezusa nie ma sytuacji bez wyjścia, bo On sam wyszedł z otchłani śmierci. Zostaliśmy zaproszeni do głębokiego rozeznania sytuacji, w jakiej się znajdujemy, tak by nie skupiać się na odczuwanych

objawach, takich jak ból psychiczny lub duchowy, ale szukać źródła „choroby”.

Dla Izraelitów, przekonanych, że choroba czy kalectwo jest karą od Boga, znakiem, że Bóg opuścił daną osobę, Bartymeusz był niegodny uwagi. Nie miał nawet własnej tożsamości. Jego imię znaczyło tyle co „syn Tymeusza”. Był ślepcem, żebrakiem, niewartym tego, by ktoś taki jak Jezus się dla niego zatrzymywał. Takie myślenie nieobce jest i nam, gdy przeciwności i cierpienia odbieramy jako karę od Boga. Piątkowa adoracja Najświętszego Sakramentu stanowiła okazję, by zawołać do Jezusa jak Bartymeusz: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!”. Każdy mógł wołać do Pana o to, czego potrzebuje, a czego nie doświadczył w swoim życiu. To wołanie z wiarą w to, że nie ma takiej rany, takiego kompleksu, niczego, co mogłoby odłączyć człowieka od miłości Boga, pozwoliło wielu doświadczyć bliskości Jezusa, bycia ukochanym dzieckiem Boga.

Kolejne konferencje poświęcone były m.in. trudnościom w relacjach z innymi, szczególnie z najbliższymi. Zranienia często skutkują blokadą w

nawiązywaniu kontaktów z obawy przed kolejnymi zranieniami. Proces uzdrowienia i przebaczenia jest więc nam bardzo potrzebny, ale także i tym, którzy nas skrzywdzili, gdyż przerywa toksyczną więź, która łączy ofiarę z krzywdzicielem. Czyni nas wolnymi, a naszym krzywdzicielom, jeśli już nie żyją, pomaga osiągnąć życie wieczne. Krzyk Bartymeusza, ale także i nasze wołanie, jest decyzją, że tak dalej nie chcemy już żyć. Ten krzyk wiele mówi o tym, jak bardzo pragniemy zmiany swojej sytuacji. Jest znakiem szczerości w modlitwie przed Panem, a Bóg lubi, gdy jesteśmy przed Nim jak dzieci i mówimy o uczuciach, które są w nas. Demon chce natomiast zamykać ludzkie serca na Słowo Pana i sprawić, że nasza relacja z Jezusem stanie się letnia. Na skutek naszych ran widzimy Boga w sposób karykaturalny, co powoduje że w praktykach religijnych zamiast miłości jest przyzwyczajenie. Uzdrowienie zranień jest więc konieczne, by dokonała się zmiana jakościowa, a nasza pobożność płynęła z serca. Warunkiem rozpoczęcia tego procesu jest zobaczenie swojej rany. Dopiero wtedy jesteśmy zdolni przebaczyć tym, którzy wobec nas zawinili. Dzięki temu nasze serce może stać się wolne.

W sobotni wieczór nastał czas, by jak Bartymeusz „zrzucić swój płaszcz – jedyne zabezpieczenie i dobytek – i przyjsć do Jezusa”, stanąć przed Panem. Modlitwa o uzdrowienie w szczególny sposób ukierunkowana była na osoby, którym brakowało w życiu doświadczenia błogosławieństwa ojca lub matki. W przeżywaniu tego wieczoru towarzyszyły nam siostry

zakonne jako przybrane matki oraz kapłani jako przybrani ojcowie.

Niedzielę rozpoczęliśmy wysłuchaniem rozważań o przebaczeniu, które jest bramą wiodącą do uzdrowienia, to ono bowiem uwalnia nas od krzywdziciela. Jednakże o własnych siłach nie jesteśmy w stanie przebaczyć, do tego uzdalnia nas jedynie miłość. Ten proces dopełnia się, gdy możemy rozmawiać o swoim krzywdzicielu, o swojej ranie bez żadnej łzy, gniewu czy żalu. To znak, że człowiek jest wolny. O to wyzwolenie prosiliśmy także w trakcie modlitwy o wylanie Ducha Świętego.

Rekolekcje zakończyliśmy Eucharystią, w czasie której ksiądz Artur przedstawił dwie skuteczne metody walki duchowej, mogące ustrzec nas przed powrotem w stare schematy myślenia i postępowania. Pierwsza z nich to wierność lekturze Bożego Słowa, które jest antidotum na truciznę ludzkiego słowa, jakie nas zraniło. Karmienie się Bożym Słowem pomaga nam wierzyć, gdyż – jak napisał św. Paweł w *Liście do Rzymian* – *wiara rodzi się ze słuchania*. Bartymeusz uwierzył Słowu Boga. Nie zawiódł się – pierwszą osobą, którą zobaczył, był Jezus. Szedł więc za Nim, wielbiąc Boga. To wskazuje nam na drugą metodę walki duchowej – modlitwę uwielbienia, nawet pośród cierpienia czy niezrozumienia. Uzdalnia bowiem ona człowieka do tego, by nie dał się zepchnąć w utartę tory narzekania czy nawet depresji. Jako chrześcijanie jesteśmy wezwani do tego, żeby – tak jak święty Paweł w więzieniu – śpiewać hymny Bogu, a wtedy opadają z nas kajdany.



Czy chcesz stać się zdrowym?

Renata Czerwińska

Zanurzeni w świecie, wśród wielu dźwięków, nie rozpoznajemy nieraz głosu Pana, jesteśmy jak ziarno rzucone między ciernie (por. Mt 13,22). Niejednokrotnie jakaś sprawa lub osoba stają się tak dominujące, że niejako przesłaniają nam Boga. A jednak, wracając do Słowa Bożego, rozpoznajemy głos Tego, który nas kocha. Spotykając się z Nim, odnajdujemy wreszcie pokój serca i nową nadzieję. *Cicho! Ukochany mój! Oto On, oto nadchodzi! (...) Miły mój odzywa się i mówi do mnie* (Pnp 2,8a.10a).

Potem nastąpiło święto żydowskie i Jezus udał się do Jerozolimy.

Kiedy rozważaliśmy to Słowo (J 5,1-14) na naszym spotkaniu modlitewnym, uderzyło mnie już pierwsze zdanie: *Jezus udał się do Jerozolimy*. Jerozolima to nie tylko miasto leżące na określonej szerokości i długości geograficznej. W ujęciu biblijnym to obraz narodu wybranego, a wreszcie – obraz mojej duszy. Jezus idzie do Jerozolimy – czyli do mnie. On sam chce się ze mną spotkać, chce wejść z moje życie. W *Księdze Izajasza* czytamy piękny obraz zrujnowanego miasta, które Bóg chce podźwignąć, odbudować: *Za to, iż byłoś opuszczone, znienawidzone i bez przechodniów, uczynię*

cię wieczystą chlubą, rozradowaniem wszystkich pokoleń. (...) Sprowadzę złoto zamiast miedzi, a srebro – na miejsce żelaza, sprowadzę brąz zamiast drzewa, a żelazo – na miejsce kamieni. Ustanowię pokój twoim zwierchnikiem, a sprawiedliwość twą władzą. Już się nie usłyszysz o krzywdzie w twym kraju, o spustoszeniu i zagładzie w twoich granicach. Murom twoim nadasz miano „Ocalenie”, a bramom twoim „Chwała” (Iz 60,15.17-18). Nie będą więcej mówić o tobie „Porzucona”, o krainie twej już nie powiedzą „Spustoszona”. Raczej cię nazwą „Moje <w niej> upodobanie”, a krainę twoją „Poślubiona” (Iz 62,4).

To On sam chce przemienić smutek w radość, przynieść pokój wewnętrzny (a pamiętamy, że nazwa ‘Jerozolima’ znaczy ‘miasto pokoju’). Przetawmy części rozważanego zdania: „Jezus udał się do Jerozolimy, więc nastąpiło święto”. Czy cieszę się z obecności Boga w moim życiu, w mojej codzienności? Czy wręcz świętuję z tego powodu? Czy dziękuję Mu za drobiazgi, najmniejsze sprawy, o które przecież On się troszczy? Czy wierzę Mu, że skoro przyszedł, skoro jest Bogiem bliskim, to zajmie się nie tylko codziennymi, małymi sprawami, ale także rozwiąże to, co wydaje mi się nie do rozwiązania? *Wyśpiewuj, Córo Syjońska! Podnieś radosny okrzyk, Izraelu! Ciesz się*

i wesel z całego serca, Córo Jeruzalem! Oddalił Pan wyroki na ciebie, usunął twego nieprzyjaciela: król Izraela, Pan, jest pośród ciebie, nie będziesz już bała się złego (Sof 3,14-15).

W Jerozolimie zaś znajduje się sadzawka Owcza, nazwana po hebrajsku Betesda, zaopatrzona w pięć krużganków. Wśród nich leżało mnóstwo chorych: niewidomych, chromych, sparaliżowanych...

Święty Jan pokazuje nam, gdzie przychodzi Jezus w trakcie święta: nie ma go wśród zgłębliwego tłumu na targu ani wśród radośnie świętujących. Idzie – jak zawsze – tam, gdzie są ci, *którzy się źle mają* (por. Mt 9,12). On zauważa to, co w Jerozolimie wymaga uleczenia: niewidomych – to, że nie widzimy prawdy, światła; chromych – te sprawy, które kuleją w naszym życiu, to, co się nie udaje; sparaliżowanych – te sytuacje, w których doświadczamy niemocy, bo powstrzymuje nas lęk, gniew lub żal. Sadzawka nazywa się Owcza – a oto przychodzi sam Dobry Pasterz: *Ja sam będę szukał moich owiec i będę miał o nie pieczę* (Ez 34,11)

...którzy czekali na poruszenie się wody. Anioł bowiem zstępował w stosownym czasie i poruszał wodę. A kto pierwszy wchodził po poruszeniu się wody, doznawał uzdrowienia niezależnie od tego, na jaką cierpiał chorobę.

O, jakie to musiało być frustrujące: dlaczego ktoś znów jest pierwszy? Dlaczego on, dlaczego znów nie ja? Dlaczego ciągle mi się w życiu nie udaje? Nigdy mi się nie uda, jestem do niczego, moje życie nie ma sensu. A może inaczej: muszę być pierwszy, muszę postawić na swoim, muszę rozpychać się łokciami, nieważne, że ludzie wokół będą cierpieć.

To nie tylko choroby fizyczne dręczyły zgromadzonych wokół sadzawki – ale i żal (z powodu niespełnionych nadziei, ale też i do bliskich, którzy umiejętnie pozbyli się kłopotu – niech chory czeka na cud), rozgoryczenie, brak poczucia sensu życia, skoncentrowanie na cierpieniu. I – co ciekawe – święty Jan milczy na temat tego, żeby ktokolwiek z leżących rozpoznał Jezusa i zawołał Go. To On wchodzi między nich i zwraca się do pewnego człowieka. Jak to możliwe, że w cierpieniu nie rozpoznajemy Tego, który *leczy złamanych na duchu i przewiązuje ich rany* (Ps 147,3)? Obyśmy w takich momentach nie poddawali się myślom, które podsuwa nam zły duch, ale przyłgnęli całym sercem do Boga. *Wspomnienie udreki i nędzy – to piołun i trucizna; stale je wspomina, rozważa we mnie*

dusza. Biorę to sobie do serca, dlatego też ufam: Nie wyczerpała się litość Pana, miłość nie zgasła. Odnawia się ona co rano: ogromna Twa wierność. „Działem mym Pan” – mówi moja dusza, dlatego czekam na Niego (Lm 3,19-24).

Znajdował się tam pewien człowiek, który już od lat trzydziestu ośmiu cierpiał na swoją chorobę. Gdy Jezus ujrzał go leżącego i poznał, że czeka już długi czas, rzekł do niego: „Czy chcesz stać się zdrowym?”

Bóg wie, że taka jest nasza kondycja, że w strapieniu często Go nie rozpoznajemy. To On sam przychodzi, aby nas wspomóc, pokrzepić, sam odnajduje nas w tłumie. Poprzez różne wydarzenia, osoby, słowa chce



nas dotknąć i uzdrowić. Jezus zatrzymuje się przy tym konkretnym człowieku, skupia się tylko na nim. Dla Niego zawsze jesteśmy jedyni.

Czy chcesz stać się zdrowym? – dziwne pytanie. Można nie chcieć? Można. Można tak przyzwyczaić się do swojego cierpienia, stylu życia, że człowiek boi się rozpocząć życie w zupełnie inny sposób. Można udawać przed sobą, że inni mają gorzej, że ze mną nie jest tak źle. Można nie wierzyć, że cokolwiek się zmieni w naszym życiu (choćby słyszeliśmy, że Bóg uzdrawia, że czyni cuda... ale przecież wobec innych, nie mnie).

Odpowiedział Mu chory: „Panie, nie mam człowieka, aby mnie wprowadził do sadzawki, gdy nastąpi poruszenie wody. Gdy ja sam już dochodzę, inny wchodzi przede mną”.

Jeśli chory był chromy czy sparaliżowany, to naturalne jest, że potrzebował kogoś do pomocy. Nieraz

jednak zdarza się, że pokładamy w drugiej osobie zbyt duże nadzieje. Tak, Bóg potrafi dać nam prawdziwych przyjaciół, którzy stają się *lekarstwem życia* (por. Syr 6,16), więcej, czyni nieraz takie cuda przebaczenia, że odnajdujemy ich wśród tych, których kiedyś trudno nam było kochać. A jednak nawet najlepszy przyjaciel może nas nie zrozumieć, a czasem może tak zranić, że nie wiemy, co zrobić, jak się zachować: z jednej strony bylibyśmy nawet gotowi przebaczyć, bo to przecież droga nam osoba, z drugiej jednak kipi w nas gniew na wspomnienie krzywdy. Nieraz mamy też takie relacje, w których jesteśmy powodowani lękiem. Wtedy też możemy postawić drugą osobę na pierwszym miejscu, które jej się nie należy (o tych zależnościach pisze o. Augustyn Pelanowski w książce *Wolni od niemocy*). Jedynym, który nigdy nie zawiedzie w miłości i w przyjaźni, jest Bóg. To nie są tylko piękne, pobożne słowa. O tym doświadczeniu mówi wielu świętych, ale tej wiernej miłości może doświadczyć każdy: *Otwórz z bezgraniczną ufnością Twe serce na działanie Tego, który sam może Cię pocieszyć i zbawić. Nie bój się przyszłości, ponieważ Bóg jest z Tobą i jest najwierniejszy!* (św. o. Pio). Gdy nie rozumiemy nas najbliżsi, gdy sami siebie nie rozumiemy, zwróćmy się do Jezusa jak chory nad sadzawką. Nie obawiamy się odrzucenia, niezrozumienia. Bóg jest ostatnim, który mógłby źle z nami postąpić – *nie tak bowiem człowiek widzi <jak widzi Bóg>, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce* (1 Sm 16,7b).

Rzekł do niego Jezus: „Wstań, weź swoje łoże i chodź!”. Natychmiast wyzdrowiał ów człowiek, wziął swoje łoże i chodził.

Uzdrowienie nie nastąpiło tak, jak się tego spodziewał chory. Nie został wprowadzony do sadzawki jako pierwszy. Jezus zajął się nim osobiście, to było uzdrowienie właściwe tylko jemu. Został uzdrowiony natychmiast. Żydzi dziwili się na jego widok, bo w szabat niósł swoje łoże. Jezus jednak już kiedyś, kiedy uzdrowił kobietę od kilkunastu lat pochyloną, pokazywał im, jak dobry jest Bóg, który uwalnia swoje dzieci z więzów właśnie w dzień szabatu, w dzień, który On ustanowił jako odpoczynek i święto. Dlaczego chory ma wziąć swoje łoże, czy nie mógłby już go zostawić nad sadzawką, tak jak zostawił za sobą cierpienie, zacząć wszystkiego od nowa? Nieraz jest tak, że po nawróceniu i uzdrowieniu Bóg posyła nas

do osób, które doświadczają cierpienia podobnego do naszego, do środowisk, z których zostaliśmy wyrwani: *byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udreće, pociechą, której doznajemy od Boga* (2 Kor 1,4). Obyśmy byli dobrymi świadkami Jego zwycięstwa w naszym życiu, nawet jeśli nie zobaczymy natychmiastowego owocu u tych, do których będziemy posłani.



Potem Jezus znalazł go w świątyni i rzekł do niego: „Oto wyzdrowiałeś. Nie grzesz już więcej, aby ci się coś gorszego nie przydarzyło”.

Uzdrowiony – całkiem słusznie – idzie podziękować Bogu za otrzymaną łaskę. I tu także Jezus go odnajduje – widzimy więc, że jest z nami w każdym czasie, tak jak obiecał (por. Mt 28,20). W strapieniu pokrzepia nasze serca, a w pocieszeniu, kiedy łatwiej jest nam wybierać Jego wolę, chce, abyśmy ją dobrze rozeznali i wykonali. Zwraca uwagę na słabość człowieka, możliwość powrotu do grzechu. *A ja powiedziałem pewny siebie: „Nigdy się nie zachwieję”. Z łaski Twojej, Panie, uczyniłeś mnie niezdobytą górą, a gdy ukryłeś swe oblicze, ogarnęła mnie trwoga* (Ps 30,7-8). Życie na własną rękę, w odłączeniu od Boga, który nas miłuje, może stać się wkrótce – wbrew pozorom – źródłem cierpienia nie do uniesienia. Szukajmy więc naszego najlepszego Przyjaciela i dajmy Mu się odnaleźć, abyśmy mogli mówić jak Psalmista: *Chcę wielce dziękować Panu swoimi ustami i chwalić Go w pośrodku tłumów; bo stanął po prawicy biednego, aby go wybawić od sądzących jego życie* (Ps 109,30-31).

Bóg dał mi wolność i nadzieję

Na przełomie roku 2015/2016 byłem na I tygodniu rekolekcji ignacjańskich w Porszewicach koło Łodzi. Przed wyjazdem pojawiało się wiele przeciwności, aby tam nie pojechać: choroba dziecka, mój słaby stan zdrowia, zmęczenie, ale pomimo tego zaufałam Panu Bogu i wzięłam udział w rekolekcjach.

Owoce tego czasu były ogromne. Przede wszystkim Pan Bóg dał mi wolność wobec czynienia dobra. Byłam osobą, która chciała wszędzie opowiadać o Bożej miłości, pomagać wielu ludziom w ich trudnościach, problemach. Wydawało mi się to słuszne, bo czyniłam dobro. Jednak dzięki łasce Bożej zrozumiałam, że potrafiłam przez to zaniedbać swoje powołanie bycia żoną, matką, gospodynią domową. Poza tym to zaangażowanie bardzo mnie męczyło i zniewalało. Wydawało mi się, że to, co robiłam, było zgodne z wolą Bożą. Na rekolekcjach otrzymałam światło od Ducha Świętego, że to były tylko moje ludzkie pragnienia. Pan Bóg pokazał mi, że jeśli coś jest Jego wolą, to Duch Święty będzie mi o tym przypominał poprzez Swoje natchnienia (czasami wielokrotnie). Odczułam ogromną ulgę, wewnętrzną wolność i radość.

W trakcie robienia jednej z medytacji duże wrażenie zrobiło na mnie to, z jaką gorliwością i wytrwałością Jezus walczył, by nie ulec pokusie w Ogrodzie Oliwnym. Obraz gęstej krwi spływającej po twarzy Jezusa poruszył moje serce. Pojawiły się łzy i żal za to, że w chwilach próby i trudnościach, zamiast z większą gorliwością trwać na modlitwie, z taką łatwością popadałam w duchowe zniechęcenie.

Na rekolekcjach Pan Bóg wlał też w moje serce dużo nadziei. W czasie pobytu w Porszewicach pojawiła się myśl, że po powrocie sytuacje życiowe, moje słabości i tak się nie zmieniają, że nadal będzie pojawiał się lęk, który będzie mnie paraliżował i powodował, że zaniedbam dobro. Lęk ten pochodził od złego ducha. Dzięki łasce

Bożej rozumiałam, że Pan, kiedy tylko o to poproszę, posyła do mnie Swojego Ducha, Ducha Świętego, który uwalnia mnie od wszelkiego lęku, bowiem owocami Ducha Świętego jest *miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie* (Ga 5,22-23). Ważne jest, abym gdy tylko pojawi się lęk lub dostrzegę swoją słabość, od razu przyzywała Ducha Świętego, a On przyjdzie mi z pomocą. Kluczowe jest to, że mam wielokrotnie w ciągu dnia upraszać Jego obecności, a nie tylko w czasie porannej modlitwy.

Dzięki jednej z konferencji zrozumiałam, że w czasie strapienia, kiedy pojawia się niechęć do modlitwy, wtedy mam z większą gorliwością walczyć o nią, a nie jej unikać. Z kolei w czasie pocieszenia, gdy odczuwam obecność, bliskość Boga, powinnam nie „podbijać” tego stanu poprzez zbyt długą modlitwę, gdy czas i obowiązki na to nie pozwalają. Muszę także pamiętać, że stan pocieszenia jest łaską od Boga, a nie wynikiem mojej emocjonalności i że po pocieszeniu przyjdzie czas strapienia, który potrzebny jest do wzrostu duchowego. Oba stany mam rozeznawać duchowo, abym była człowiekiem stałym w wierze. Myśl, którą zapamiętałam najbardziej z konferencji o Remigiusza Reclawa, dotyczący rozeznawania duchowego: „Prostota jest miłością, a roztropność jest myślą. Miłość modli się, a inteligencja czuwa. Dlatego czuwajcie i módlcie się. Modlitwa to czas miłości, a czuwanie to czas rozeznawania duchowego. Nie wystarczy zatem tylko rozeznawać lub tylko modlić się. Czuwajcie i módlcie się.”

Chciałam oddać Panu Bogu chwałę za piękne owoce medytacji, jak i za samo doświadczenie Jego miłości i miłosierdzia.

Anna

świadectwo

Otrzymałem wskazówki do codziennego życia

Na przełomie roku 2015/2016 byłem w Porszewicach na I tygodniu ćwiczeń duchownych według św. Ignacego Loyoli, popularnie zwanych rekolekcjami ignacjańskimi. W formularzu zgłoszeniowym należało wpisać, jakie są moje oczekiwania. Po krótkiej modlitwie zrodziło się pragnienie, aby prosić o siłę do walki ze słabościami, pokusami i grzechem. Na rekolekcjach otrzymałem konkretne wskazówki, bardzo pomocne w codziennym życiu. Postaram się w punktach nimi podzielić.

• **Wierność jest możliwa tylko w mocy Bożej: w zaufaniu, słuchaniu i wytrwałym rozeznawaniu.**

• **Aby bardziej dbać o skupienie, cierpliwość, wierność i lepiej rozeznawać, trzeba zwolnić.**

Wspomnę tutaj, że na początku rekolekcji miałem trudności z wewnętrznym skupieniem. Podczas spaceru modliłem się na różańcu i wiele myśli kłębiło mi się w głowie. W momencie, gdy zwolniłem kroku, myśli było coraz mniej, a gdy zatrzymałem się, rozproszenia odeszły. Dzięki łasce Bożej udało mi się rozpoznać, że za szybko pędzę. Przekłada się to na codzienne życie, w którym również muszę zwolnić, aby lepiej współpracować z łaską Bożą, rozpoznawać Boże natchnienia i dochować wierności Panu Bogu.

• **Smutek, nieporządek, brak czułości i miłości do żony są grzechem nierealizowania powołania.**

Zrozumiałem, że smutek, który często mnie ogarniał jako owoc mojej niewierności Panu Bogu poprzez przegrane walki duchowe, uleganie pokusom, oddziaływanie na otoczenie, w którym się znajduję. Gdy inni widzą mnie w takim stanie, mogą pomyśleć, że jestem nieszczęśliwy. Taką postawą odstrasza ludzi od Boga.

Pożyteczne tutaj okazało się dla mnie zaproponowane przez kierownika duchowego ćwiczenie polegające na tym, aby pójść do kaplicy i uśmiechać się do Pana Jezusa na Krzyżu. Pojawiały się tutaj jednak trudności, bo przez swoje błędy traciłem wewnętrzną radość i nie potrafiłem iść przed Krzyż i szczerze się uśmiechać. Odmocną pomocą w duchowych zmaganiach była dla mnie osoba Maryi, za którą z całego serca pragnę podziękować dobremu Bogu. Spacer z różańcem w rękę pozwalał nabrać dystansu do tego, co przeżywałem, przywracał pokój, rozpraszał wewnętrzną ciemność i dzięki temu znów mogłem iść pod Krzyż, by uśmiechać się do Pana Jezusa.

• **Mówiąc za dużo, nie w porę, do serca, które nie jest głodne Boga, zamykamy je na Jego głos. Dlatego każde głoszenie winno być rozważone na modlitwie.**

Słowo to trafiło do mojego serca i pojąłem, jak ważne jest dbanie o owoce Ducha Świętego we mnie, czyli o *miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie* (Ga 5,22-23). Gdy inni dostrzegą je we mnie, może to wzbudzić w nich zaciekawienie i pytania: „Skąd on to ma, dlaczego tak postępuje, reaguje?”. Wówczas będzie to dobry moment, aby wskazać na Dawcę tych owoców i przy tym oddać chwałę Panu Bogu, jednocześnie zachęcając, że każdy tak może żyć, jeśli tylko zwróci się do Boga, Jemu powierzy swoje życie.

Na koniec chciałem oddać chwałę dobremu Bogu i podziękować za ten czas ogromnej łaski. Chwała Tobie, Panie!

Lukasz

świadectwo

NASZA OFERTA WYDAWNICZA

REKOLEKCJE CHARYZMATYCZNE

MP3

DVD

NOWOŚĆ!

MARIA VADIA

MOC UWIELBIENIA

MP3



O. JÓZEF WITKO OFM

- Pan jest z Tobą, dzielny wojowniku!
- Błogosławieństwo i przekleństwo
- Doświadczenie Ducha Świętego



O. ENRIQUE PORCU I O. ANTONELLO CADEDDU

- Duch Święty zstąpi na was i otrzymacie Jego moc
- ... szukajcie tego, co w górze
- Nie dał nam Bóg ducha bojaźni ...

KS. PIOTR GLAS

- Przyszędłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, żeby już zapłonął

Dwumiesięcznik „Poślanie”

ciekawe artykuły **świadectwa**
wywiady **konferencje**

W ostatnim numerze m.in.:

Bóg rozpałił moje serce
Kiedy wychwalamy Boga, dzieją się cuda
Wszystko mi się zgadzało!



ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY

Pismo można zamówić telefonicznie, mailowo, listownie, a także w naszym sklepie internetowym. Następnie należy wpłacić na nasze konto podaną kwotę (cena za pismo + koszty przesyłki). Po otrzymaniu wpłaty zrealizujemy Państwa zamówienie.

Opłata za prenumeratę półroczną: **13,50 zł** (+ koszty przesyłki)

(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **19,50 zł**)

Opłata za prenumeratę roczną: **27,00 zł** (+ koszty przesyłki)

(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **39,00 zł**)

KOSZTY PRZESYŁKI:

ilość egzemplarzy	koszt przesyłki
1 - 3	2 zł
4 - 9	4 zł
10 i więcej	7 zł


Katolickie Stowarzyszenie Ewangelizacyjne „Poślanie”

skr. pocztowa nr 100, 87-101 Toruń 3

e-mail: sklep@poslanie.pl www.poslanie.pl

tel. 724 171 870 (pon. - pt. w godz. 9:00-17:00)

nr konta bankowego: 27 1940 1076 3044 3244 0000 0000



*Droga życia jest zbyt krótka, by jej poświęcić wiele zabiegów i starań,
i więcej wymaga umartwienia woli, niż rozległej wiedzy. Im kto mniej
będzie szukał upodobania w rzeczach, tym szybciej pójdzie po niej.*

św. Jan od Krzyża